

BLUSZCZ

Spółecznosc Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 31 SIERPNI 1929 ROKU

NR. 35

TREŚĆ NUMERU: Wiek dziecka — *M. Benislawska*, Na drogach istotnego powołania kobiety — *Jan Belcikowski*, Poezje: „Nadzieja” — *Lucyna Krzemieniecka*, Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*, Konfuzja pana Ignacego (dok.) — *Z. Reutt-Witkowska*, Jeden dzień w stolicy Łotwy — *Stefanja Podhorska-Okolów*, Swatki paryskie — *J. Putiatycz-Surynowa*, Dzieci które nie widziały wsi i prawdziwego lasu — *Jadwiga Krawczyńska*, Kobieta w świecie i w domu — *j. k.*, Kilka godzin w Kórniku — *Pani Elżbieta*, O najważniejszych brakach pokarmowych w naszym obecnym pożywieniu — *Dr. Stefan Kramsztyk*, Szparagi — *Stan. Schönfeld*, Włókiennictwo i tkaniny artystyczne na P. W. K. — *Jadwiga Kiernarska*, Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*, Korespondencje, Dodatek „Mody i roboty”: Poprawna prostota — *Well*, Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*, Arkusz wzorów.

WIEK DZIECKA

Ilekróć słyszę to miano, nadawane wiekowi bieżącemu, tyle razy pytam siebie: jak to rozumieć?...

Zali istotnie emancypacja kobiety pociągnęła za sobą automatycznie jakąś emancypację dziecka? Wątpię.

Kobieta stanęła obok mężczyzny do pracy fachowej. Musiała stanąć. Można dużo powiedzieć za i przeciw — tylko nie można tego cofnąć. To jest mus, konieczność, nakaz życia. Tak było przed wiekami dla bardzo szerokiej masy niewieściej z ciemnego, milczącego tłumu, tak stało się dla większości kobiet z inteligencji i półinteligencji teraz — świeżo; pracowała narówni z mężem wiejska *baba* czy żona robociarza przed wiekami, dziś zaczęła pracować *pani*. Różnica: że do pracy swojej kobieta z ludu *myrastala* — zaś fachową swą siłę czerpać musi inteligentka z przygotowania. Prawda, ma wolny dostęp do szkół średnich, wyższych, najwyższych. Tylko tradycji ta praca jeszcze nie ma, nie ułożyła się w łożysku życia codziennego. Stąd wynikają poważne trudności, zahaczenia, załamania się.

Obecnie chodzi mi o to, jak ten nowy prąd życia odbija się na istocie najbliższej kobiecie — na dziecku. Że wywołał on (wierzymy, że przejściowo), jak wszelka rewolucja, najszczytniejsze głosząca hasła — ostry kryzys w bycie rodziny — zaprzeczyć trudno.

Kobieta, wychodząca na szeroką arenę życia, osierociła dziecko. A jeszcze ten typ dziecka „sieroty po żyjących rodzicach” nie wyrobił sobie w nowych stosunkach społecznych własnego miejsca.

Nie zapoznają ogromu wysiłków w kierunku

rozstrzygnięcia zagadki bytu tych ptasząt bez gniazd, jednak twierdzą, że stan przejściowy, czas prób i zmian nie da się w żaden sposób nazwać wiekiem uprzywilejowania dziecka. Tymczasem ono straciło swoje dawne, w żadnym kodeksie niezapisane prawa; rodzina przebudowuje się od fundamentów — nowe prawa gorliwie piszą się, obmyślają, tworzą — powiedzmy zatem: żyjemy myślą o dziecku i jego prawach, ale wiek, w którym ono wejdzie w pełne ich posiadanie — nie zaczął się dla dziecka jeszcze, to „muzyka przyszłości”.

Tem niemniej, jak przyszła emancypacja kobiety — bo przyjść musiała, tak i emancypacja dziecka przyjść musi i przyjdzie.

Bardzo dużo zrobiło się dla dziecka w szkole: tam zdobyło ono już wiele praw i przywilejów, o których nie śniło się starszemu pokoleniu z więziennokazamackiej szkoły zaborców. Bądź co bądź, radość życia przestąpiła oficjalnie próg szkoły wraz z wycieczkami, sportami, zniesieniem srogich kar i t. p. Nie jest jeszcze idealnie — jednak dąży się ku ideałowi radosnej pracy dziecka.

Ale szkoła nie jest dla dziecka wszystkim. Siedem lat — tych pierwszych i najnieodolniejszych i najbardziej decydujących lat stawania się swego fizycznego, umysłowego i moralnego ja — dziecko spędza poza szkołą. Gdzie? W domu... w swoim *home*...

Czy dziś to *home*, to gniazdo rodzinne, to ciepłe i jasne *ognisko* domowe istnieje? W nowoczesnej rodzinie — nie. Wyjątki są nieliczne.

U ludu wiejskiego dzieciak ssący „w płachetce”, nieco starszy, uczepony u matczynych spódnice,

wędruje za matulą, widz, a rychło i współpracownik wszelkiej roboty gospodarskiej. Dziecko proletarjusza o wiele cięższe ma warunki, ale może najcięższe — psychicznie zwłaszcza — ma dziecko obojga pracujących fachowo inteligentów. W życiu takiego dziecka fatalną jest zwłaszcza dwoistość. Matki nie ma... i — matka jest... pojawia się z nią coś innego, może niezawsze błęgiego, ale odmiennego, niż sam na sam z jej płatną zastępczynią, przygodną, zwykle nie wspólnego ze światem dziecka nie mającą, służącą do wszystkiego. Do stałych warunków — bądź dobrych, bądź fatalnych, psychika dziecka przystosowuje się z przedziwną łatwością, ale tu właśnie elementem szarpiącym, deprawującym, wykluczającym spokój jest — dwoistość. Tu tworzy się środowisko rzetelnej dziecięcej nędzy — sieroctwa, a często i zepsucia.

Zastrzegam się: nie przemawiam bynajmniej za powrotem do „dawnych dobrych czasów“. Byłoby to i nadaremne i niepożądane, gdyż wszystkie te niebieskości oddalenia są mocno podejrżane. Pamiętam doskonały argument, którego użył za emancypacją przemawiający swego czasu biskup Fénelon w swoich „Lettres sur l'éducation des femmes“. Poważne matrony ze zgrozą przyjęły niesłychaną innowację: kobieta ma się uczyć — wstyd powiedzieć — pisać! Bo czytać — jeszcze, przyda się na książce do nabożeństwa lub z przepisami kucharskimi — ale pisać!... Do czego to się nada? Chyba do pisania miłosnych listów... Więc w imię czystości ogniska domowego — w imię cnoty: precz z nauką pisania dla dziewczęcia! Gdy kobieta żona i matka umoczy pióro w atramencie — rodzina rozleci się! Mąż będzie miał niezalatane dziury w kieszeni, guziki nieprzyzycyte (zawsze te guziki!), gospodarstwo zmarnieje, dzieci będą biegały oberwane i brudne... słowem dziesięć plag egipskich z okładem.

Cóż na to mądry biskup? Uśmiechał się.

— Córki wasze — odpowiedział im w listach swych o wykształceniu kobiet — aż dotąd nie pisały — a jednak ilu jest mężów o niezalatanych kieszeniach, ile zaniedbanych gospodarstw i dzieci! Co do listów miłosnych, że poniektóra dama, zajęta siedem dni w tygodniu lekturą tkliwych romansów, gdy wreszcie któryś ziścił postanowiła w życiu własnym — obchodzi się bez pisania listów, załatwiając te sprawy nie na piśmie drodze — korzyść z tego nieduża... i wogóle nie ryzykujemy tak wiele, zmieniając stan obecny.

Mnie się widzi, że ten ostatni argument i dziś przydałby się, jako replika na protesty przeciw fachowej pracy kobiet matek. Nie wystarczy, aby kobieta nie pracowała poza domem, żeby już przez to samo dziecko jej nie było w tym domu rodzicielskim typową sierotą.

Zanadto przywykliśmy deklamować na temat cudownej, bezgranicznie oddanej dziecku miłości matki. Taka miłość, czynna, dzielna, mądra, celów świadoma — powiedzmy bez ogródek — jest rzadkością. Kobiety są dwojakiego typu: matki — i nie-matki, choć rodzą, noszą, czasami... karmią nawet. Typ ostatni jest o wiele częściej spotykany. Taka nie-matka i dawniej i dziś, czy pracuje poza domem, czy nie, nie umiała sobie dać rady z dziećmi, i dzieci jej są i były urodzonymi sierotami. Czy i w jakiej mierze ten brak wrodzony da się skompensować przez odpowiednie kształcenie, nie śmiem przesądzać, jednak w epoce, kiedy stanowczo życie „wedle natury“ stało się mrzonką, kiedy całą parą żyjemy raczej kulturalnie, bezpieczniej będzie nie ufać, że nauczycielem będzie nam samo przyrodzenie, a raczej dążyć do kształcenia kobiety na matkę, o ile obowiązki matki ma wziąć na siebie.

W wielu jednak wypadkach, gdy zarobkowa praca wygania matkę z domu na dzień cały, gdy brak jej powołania i wiedzy lub sił i zdrowia, gdy warunki domowe źle się układają — miejmy odwagę wręcz powiedzieć: należy raczej dziecku stworzyć rodzinę sztuczną, kulturalną, możliwie zbliżoną do idealnej, niż je zostawiać w niepowołanych rękach.

Rodzinę, gdzie pracują oboje rodzice, niezawsze stać na osobę wykwalifikowaną, mogącą dziecku matkę zastąpić i to tak, żeby ono zyskało — nie straciło na tej zamianie, ale stać byłoby na taką osobę kilka lub kilkanaście rodzin zbiorowo.

Powinnyby zatem, zdaniem mojem, powstać takie „rodzinne gniazda“ — nie przedszkola, nie freblówki — tylko środowiska, gdzie nie nazbyt duża ilość dzieci różnego wieku mogłaby znaleźć w życiu pseudo-rodzinne pod opieką kobiet fachowo wykształconych, a przede wszystkim posiadających świętą iskrę macierzyńskości w sercu. W tak stworzonej idealnej rodzinie — bezdomne dziś „na łonie“ swej naturalnej rodziny dziecko, znaleźćby mogło owo ciepło rodzinnego ogniska, tak nieodbicie mu potrzebne do pomyślnego rozwoju i słowo „Wiek Dziecka“ stałoby się choć na tym odcinku — ciałem, co daj Boże!

M. Benisławska.



JAN BÉLCIKOWSKI

NA DROGACH ISTOTNEGO POWOŁANIA KOBIETY

Dziwnym zbiegiem okoliczności kobiety, piszące o kobietach, przeoczyły najgłębsze może studia w palących sprawach rodzaju właśnie z obozu, że tak powiemy, męskiego.

Żadna z nich, zdaje się (ani Grossek - Korycka, ani Jaholowska - Koszutska, ani Zofja Kowalewska, ani Ellen Key i t. d.), nie szukały potwierdzenia nawet swoich własnych, słuszych częstokroć wniosków, w pracach, tak pełnych danych wytycznych dla ruchu kobiecego, jak omawiane przez nas dzieło Havellock-Ellis'a (patrz „Bluszcz“ nr. nr. 31, 33 i 34) oraz wspomniane w artykule poprzednim studjum J. K. Potockiego: „Współzawodnictwo i Współdziałanie“.

A jednak znalazłyby tam liczne dowody tego, czego same dowieść chciały.

P. Grossek - Korycka np. znalazłaby tam po krzepienie swojej wiary w przyszłe rządy kobiet na ziemi. Gdyż i Potocki (podobnie jak Havellock) po długiej i szczegółowej analizie natury kobiecej dochodzi do wniosku, że linja powołania kobiety zbiega się właśnie z drogą najlepszej siły — władzy wykonawczej.

Mamy — stwierdza — wielkie idee; genialne pomysły, ale brak nam tych, którzyby idee te i pomysły wcielali w życie, wykonywali i właśnie kobiety mogą tu oddać nieocenione zasługi.

I wogóle, gdziekolwiek kwalifikacje pracy kobiecej ściślej, na zasadach obserwacji i doświadczeń określano, wszędzie, jakgdyby wszyscy się zmówili, jednomyślnie i nawet jednowyrazowo, stwierdzali znakomitą jej przydatność, jako siły wykonawczej.

A więc zarówno w sferze pracy codziennej, specjalnej (w szczególności biurowej), jak i w dziedzinie pracy społeczno - ideowej, wszędzie, powtarzamy, odkrywano w kobiecie historycznie - doniosły czynnik, mówiąc językiem politycznym: nie ustawodawczy, nie sądowy, ale ten, omal nie najważniejszy, którego, zwłaszcza, nam w Polsce brakowało — czynnik wykonawczy.

Po wyprowadzeniu tego zdecydowanie uzgodnionego wniosku, przejdziemy do zagadnień nie mniej, a może i bardziej doniosłych, do najbliższych zadań życiowo - programowych, praktycznych wielkiego Świata Kobiecego.

Naszkicujemy je, oczywiście w wielkim skrócie.

Otóż, na pierwszy plan siłą rzeczy wysuwa się zadanie organizacyjne. Tu, na wstępie, kobiety natrafiają na wielkie trudności do przełamania w sferze swoich przyzwyczajzeń myślowych i uczuciowych.

socjologja bowiem stwierdza, pomimo wszystkich zdobyczy cywilizacji, nieśmiertelność militarizmu, pod różnemi, coprawda, jego postaciami, jako to: religijno - bohaterskiego, rycersko - religijnego, wojskowo - przemysłowego, wojskowo - naukowo - artystycznego, wojskowo - zawodowo - robotniczego, społeczno - etycznego (spółdzielczość) i t. d., ale zawsze militarizmu, o — o zdecydowanej woli zwycięstwa i ofiary z siebie na rzecz dobra powszechnego.

Pozostawiając kobietom powyższe do wyboru, idziemy dalej.

Następnem zadaniem będzie: Prawdziwe wyzwolenie kobiety.

Wyzwolić kobietę — to nie znaczy otworzyć jej podwoje uniwersytetów, parlamentów, sądów, gdyż, wyzwolona w ten sposób, zwała ciężar swych zajęć domowych na barki innej kobiety.

Wyzwolić kobietę — głosił to już anarchista Kropotkin *), a zgadzała się z nim w zupełności Grossek - Korycka — to znaczy wyzwolić ją z jarzma bezsensownej, ogłupiającej pracy przy garnkach i nad białą, to znaczy zorganizować życie w taki sposób, iżby kobieta — obok swych obowiązków macierzyńskich, miała dosyć czasu na branie udziału w życiu publicznem.

Trzy czwarte wszystkich zajęć domowych powinna przejąć maszyna.

Zadanie trzecie: Wytwarzać we wszystkich ogniskach pracy maximum nastrojów rodzinnych, ponieważ w tej atmosferze uczuciowości, jak stwierdza to znów słusznie p. Grossek, praca kobiety jest najbardziej wydajną, aż do bohaterstwa.

Zadanie czwarte: Pomnąc, że przez gospodarstwo domowe, przez ręce szanownych gospodyń, przechodzi rocznie w Polsce, w przybliżeniu — 15 miliardów złotych (licząc po 500 złotych przeciętnie na osobę obywatela, we Francji — 30 miliardów, w Czechach — według dr. Spacka — 16 miliardów koron, na samą kuchnię), dążyć do możliwego scentralizowania i znormalizowania zajęć domowych. Centralne kaloryfery, ogrzewające całe dzielnice, centralne kuchnie (ale z wielu filjami), jednym słowem, zamiast, milionów pieców, co najwyżej tysiące i t. p.

W dalszym ciągu dążenie do racjonalnego znormalizowania życia musi ogarnąć również i ten najde-

*) Patrz: Kropotkin: „Zdobycie chleba“. Rozdział: Praca Radosna (zamieszczony w „Księgach Ducha Pracy“) i Grossek - Koryckiej: „Świat Kobiecej“, str. 301 (wszystkie roboty ręczne zmechanizowane).

spoteczniejszy ze światów: Świat Mody. Otóż, nie decydując się dla zrozumiałych względów, wracać, jako profan, w dziedzinę strojów kobiecych, podkreślę natomiast, to, do czego wzywał rząd jeden z najlepszych organizatorów naszych, wice - prezes Komisji Ankietowej, p. Wincenty Jastrzębski — konieczność uproszczenia ubrań męskich i sprowadzenia ich do jednej, a najwyżej dwóch barw i krojów (zbliżonych do kroju wojskowego). Wskazywał przytem p. Jastrzębski na przykład Grecji i Rzymu, gdzie obowiązywał jeden strój powszechny. Walory nastrojowo - zagrzewające różnego rodzaju fasonów i krojów mogą być skutecznie zastąpione przez pewne symbole, odznaki i, wreszcie, kwiaty.

Zadanie piąte: Dążyć do najszybszego zreformowania naszego szkolnictwa w kierunku największego pogłębienia i rozszerzenia istotnej Kultury Pracy.

Od czasów, conajmniej Cieszkowskiego i Norwida, przez Szczepanowskiego, Brzozowskiego, Herynga i t. d. myśl polska zajmuje się systematycznie, programowo tą sprawą, niestety jednak, omal nie bezowocnie. Podczas bowiem, gdy w świadomości poszczególnych jednostek, praca - zawód występuje już bądź to nawet, jako proces współdziałania człowieka z Bogiem (kardynał Newman), lub jako przejaw energii kosmicznej (Heryng), w szerokich warstwach społecznych praca wciąż jeszcze jest traktowaną, jak

miłość w okresie dzikości, jako jeden z procesów fizjologicznych, pod parciem konieczności.

Zadanie szóste: Na zakończenie — zagadnienie ustroju społecznego, czyli takiej organizacji pracy, któraby umożliwiała ludziom wykonywanie nie tylko ich specjalności, ale i powołania ogólnie - ludzkiego, w duchu wyzwolenia i szczęścia ludzkości. Taka zaś organizacja wymaga conajmniej pięćdziesięciu lat pokoju światowego, oraz zagwarantowania robotnikom pracy nieprzerwanej, na cały ciąg ich życia czynnego, czego jak dotąd nie była w możności wprowadzić w życie najśmielsza, najgenjalniejsza myśl organizacyjna.

Zadania bezwarunkowo złożone i trudne do wykonania, ale czas ich wcieleniu sprzyja. Jak widzieliśmy, zbliża się owa, oczekiwana i pożądana przez p. Ginę Lombroso i inne kobiety, chwila budzenia się tego napół dzikiego mężczyzny do wyższego ideowo-religijnego życia. Miejsce walki klasowej zająć stara się walka o dobro powszechne. Miejsce militarystyki zbójczej — militarystyka rycersko - religijna. Miejsce uciemiężonej kobiety — precyzyjna maszyna. Miejsce chaosu i bezplanowości — działalność programowa.

Wielka fala ideowości ogarnia coraz szerzej świat. Od ustosunkowania się kobiety wobec tej fali zależy przyszłość i jednej i drugiej.



LUCYNA KRZEMIENIECKA

N A D Z I E J A

*Dziemczynko z prowincji, z kuchenki cuchnącej,
gdzie zaduch uraga wieczorom i rankom,
widziałam, jak dzisiaj przelękło się słońce
tvojch rąk, co umiędły za brudną firanką.*

*Widziałam. Pod niebem kołysał się sierpień,
tój sierpień umierał w furkocie maszyny.
Siedziałaś, jakgdybyś przymykła już cierpieć,
za ściegiem ścieg, igłą wciąż klulaś godziny.*

*Lecz ja wiem, że z życiem Cię nikt nie pojednal,
że nikt Cię nie zgodził z brzydota Twojej twarzy.
Bo szyjąc schylona, pomyślisz: a jednak,
a czasem, a może się przecież coś zdarzy.*

*Gdy w wieczór, uliczna ośmięca latarnia
flirt panny sklepowej, wiem, że jej zazdrościsz:
zły ból, jak ocean Cię zewsząd ogarnia,
nikt męki nie przerwie, nie pomie Ci: dość już.*

*A jednak... nocami, z kraciastej pościeli
na gwiazdy spoglądasz i marzysz i płaczesz,
astrami sukienkę przystrajasz w niedzielę,
czekając napróżno, aż będzie inaczej.*

HERMINJA NAGLEROWA

17)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Klima uśmiechała się:

— Teraz mię przepraszasz, bo wiesz, że mnie skrzywdziłeś!

— Nie, doprawdy, Klimuś, wcale nie jestem taki zły. I trochę mnie lubisz, choć się dziś gniewasz od samego początku.

Jeszcze się trochę posprzeczali, kto się gniewał i kto był niezdolny, ale już nie puścił jej ramienia, choć szli teraz szeroką drogą wsi. Zaciągnęła go potem na ganek szkoły i w chłodnym szeleście powoju porozmawiali spokojnie o Jazłowcu, gdzie Klima miała dziś jakieś urzędowe, szkolne sprawy do załatwienia. Franek postanowił zaraz napisać list do matki i Klima poprowadziła go do saloniku, zapaliła tę śmieszoną lampę, zdjawszy kanarka ze szkiełka.

Franek napisał krótki, wesoły list, że mu tu dobrze, że się opalił. Na pytania matki nie odpowiedział, bo czy miał jej pisać o Hali? I, jak o tem napisać?

Skończył prędko ten bylejaki list.

— Napiszę, że się jej kłaniasz, Klima!

I aż się zdziwił, gdy krzyknęła:

— Nie, nie pisz tego!

— Nie lubisz mojej matki? Dlaczego?

Miała zupełnie białe wargi, gdy mówiła, że owszem, ale po tylu lafach pewnie jej nie pamięta i nie powinna się narzucać.

— Jeżeli sobie nie życzysz — nie napiszę nic, ale o tobie i tak wspomniałem. Zresztą ty, Klima, wiesz tu o wszystkim najlepiej i ty jedna powiesz mi prawdę. Dlaczego właściwie rozeszli się moi rodzice?

Była już znowu spokojna i tylko, powtarzając pytanie, wypróbowała brzmienie swego głosu. A potem opowiedziała mu płynnie, jakby czytała z książki. To ojciec miał swój porządeczek życia i swoje uskoki naprawo i nalewo. Nie każda kobieta chce i umie wybaczyć i to już zgóry, w sumie, na całe życie. A tu na wsi trzeba było świecić oczyma, skoro wszystko odbywało się niemal jawnie.

Franek miał wrażenie, że stanął na rozległej łące, przez którą można biec na przelaj. Więc nie matka, właśnie nie matka tu zawiniła! I prawie urzędowo zawiadomił Klimę:

— Kocham matkę!

Ale Klima musiała mu to jeszcze powiedzieć:

— Myślę zresztą, że potrafiłaby ojcu wybaczyć, gdyby go kochała. A wtedy, doprawdy, nie miała powodu. Wtedy nie zdradził jej, bo ta druga — ta druga —

— A kto to był — ta druga?

Zaśmiała się tylko, bo nagle wydało jej się to wszystko tak lekkie i niewłaśne, że można było powiedzieć nawet więcej, nawet całą prawdę.

XVIII.

W najbliższą niedzielę Franek pojechał do Jazłowca, bo trzeba było raz wreszcie spotkać się z Adonidem.

Jesionowa bryczka rzucała cień ku zachodniej stronie. Czasem zapodziwiał się ten cień w zbożu już prawie złotem, a czasem łamał się w fosie, chmurząc rosnące brzegiem kwiaty cykorji.

Gdy wjechano na główny trakt, podniosła się wysoka ściana kurzu, bo cała „okolica“ darła się z łoskotem wszelakich pojazdów do miasta. Najgorzej było, gdy samochody, sunąc aksamitnie na spuchniętych kołach, otrąbiały swoje pierwszeństwo. Wtedy rozpoczynały konie dziki taniec i odbiegały łukiem od dyszla. Głosy ludzkie, zdławione przestraczem, rzucały ohydne przekleństwa i protesty przeciw bezwzględności tych piekielnych maszyn.

Obok Franka siedział ekonom i pachniał szwarcem do butów. Ogolone policzki świeciły purpurowo, a wąs sterczał grubą, rudą kitą, niczem ogon lisi. Franek rozmawiał rzeczowo o gospodarstwie, jak przystało na dziedzicowego panicza. Ale chytróść ekonomy gotowała się do zręcznego skoku w gąszcz spraw bardziej osobistych, a bodaj nawet intymnych.

Pan Ludwik służył przecież w Kalińcach od małego dziecka i niejedną parę welwetowych spodni zdarł w tej gospodarce. Miał więc niejakię prawo do towarzyskiego dyskursu i miał też ludzkie prawo do ciekawości. Krwawa siateczka na białkach oczu, splątana w żółtawe gruzły; szukała natrętnie w źrenicach panicza. Sine wargi układały zwroty szerokie i z rusińska pieściwe.

Rozpytywał już gruntownie o mamuńcię, panią dziedziczkę. Pamięta, dobrze pamięta. I lepsze były wtedy czasy, a teraz to i nie całkiem ładno i niewiadomo jak. Bo przecież panicz już dużyj i do gospodarki w sam raz, trzeba, aby wiedział, że tu nie ze wszystkim, jak należy. Pan dziedzic teraz-obecnie mocno złośnyj, co nie jest dobrze, bo chłop dziś inszy i nie da się tak, jak to dawniej buwało. We wsi są rozmaite wrogi i rusiny i nawet polaki tak samo. O byle co skargi do starostwa, a z fernalami także nie lepiej. Już tu nie raz, nie dwa razy do strajków szło.

Ekonom był najwidoczniej strapiony tem wszystkim, ale trudno było wyrozumieć, po czyjej jest stronie. Franek wsłuchiwał się uważnie, aby wiedzieć, jakie to czarne myśli podminowują powolne i niemal łagodne wywody ekonomy. Miało się wrażenie, że pan Ludwik ostrożnie odwala kamień i zaprasza do posępnej, zbójeckiej jaskini. I jakby odrazu nabierało się męskiego rozumu przy poznawaniu tych ważnych spraw. Powinno się mieć o tem własne zdanie i dlatego dobrze jest wysłuchać każdego.

Franek niewiele wiedział o wsiowej polityce. Przechowywał tylko z dzieciństwa jakieś wspomnienia lęku i niechęci. Czasem nocą w oknach czerwieniły się łuny i mówiono potem, że to w Zaliskach był pożar, że w Wojsławiu spaliły się sterty. Mówiono, że to chłopi. Wtedy dławili w gardle, niby orzeszek, ale nie do płaczu, tylko do krzyku przerażenia.

Jeszcze straszniej było, kiedy się słyszało twarde głos ojca w „kancelarji“ i łomot czyichś butów. Wiedział, że to ojciec wyrzuca za drzwi jakiegoś zbyt zuchwałego, albo natrętnego petenta, że to ktoś przyszedł wyzebrywać darowanie kary, ściągniętej za bydło, zajęte w zbożu. Aż za furtkę szedł czasem czerwony gniew i wrzask słów złych, mściwych, odgrających się. Franek ścisnął w piastce fałdy spódnicy niani i jakby łamał się sam na małe kruszynki, żeby nie odczuwać zbyt mocno, że tatuś jest zły i ten chłop jest zły, a ta złość wszystkich grozi właśnie Frankowi.

I teraz, gdy elokwencja ekonomy wciniała się w mózg Franka, niczem pług w nieuprawną ziemię, najpierw odczuwało się strach. Mijane chłopskie fury były niby wrogie armje i aż zaciężko było pomyśleć, że ci wszyscy, jadący tak wesoło — to nieprzyjaciele.

— O, widzi panicz, Fedko Szymczuk jedzie do miasta od adwokata. Chce skargę podać na paniczowego tatuńcia, że to zbił jego chłopca. Coś wczoraj popsuł w młockarni, bo syn Fedia niby trochę mechanik. Pan dziedzic dał mu kulakiem w kark, aż chrupnęło.

Konie szły na moście noga za nogą. Niebieskie skrzydła rzeki rozplotły się w obie strony, od niedalekiego wzgórza zabielił się klasztor Bernardynów i szczytem wieży, jak ostrem piórem, pisał po niebie.

Franek roztworzył całe serce dla tych wiadomości, podawanych mu z grzecznym schyleniem głowy. Tak tu jest i tak właśnie nie jest dobrze. Nie było czasu, żeby to w sobie rozważyć, ale napewno ojciec nie był w porządku. Bo i w tych sprawach bywał ojciec napewno bezwzględny, nie chcąc rozumieć niczych racyj. I dlatego jeszcze powinien Franek tu zostać, aby zaprowadzić tu jakiś bardziej ludzki ład

we wzajemnem pożyciu. I nagle, jak w natchnieniu, pojął swoją ważność. Tu spełni coś wielkiego, coś, co zmieni dotychczasowe formy. Będą to jakieś ludzkie, życzliwe odwzajemnienia, jakaś wspólna robota nad temsamem. Nie powinno być zawiele win, bo tyleż jest zawsze krzywd. Po raz pierwszy poczuł Franek, że kocha ludzi w masie, tak razem, jak są, i że w ten sposób można być sprawiedliwym. Otóż i to jedyne słowo, które nadawało się tutaj i zamykało w sobie całość!

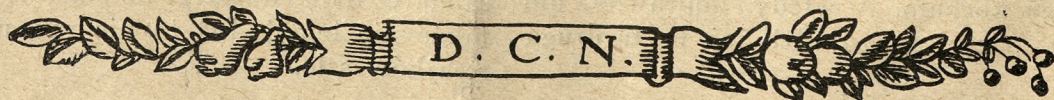
— Jestem tu potrzebny — gorączkował się — jestem potrzebny! Teraz powiem ojcu, że pójdę na agronomję, że tak chcę!

Gdy już dojeżdżali do domków przedmieścia i okna, jak strojne kapliczki, zakwieciły się pod łukiem firanek, ekonom wyłożył jeszcze jedną sprawę. Zawsze z tą samą chłopską uprzejmością i z tym samym uśmiechem, który dopowiadał więcej jeszcze gorzkich prawd, przedstawiał Frankowi stan rzeczy. Że po wojnie z ukraińcami pan dziedzic dużo zmarnował. Pewnie, trzeba było pieniędzy, bo wiele poszło na marne, ale nie powinno się było tyle sprzedać. Więcej, niż czwartą część Kaliniec rozparcelowano i to te najlepsze grunta za lasem. Teraz Kaliniec są już tylko małym folwarkiem, coś ze trzysta morg najwyżej. A i z temi pieniędzmi, co się wzięło za grunta! A wzięło się w dolarach — dobry pieniądz. Na takie poszły wydatki, że wstyd mówić. Na kobity! Coraz inna we dworze, a leci tylko na bogactwo. Bo i ta panna Hala — co drugi tydzień jeździ do Lwowa, mieszka w najlepszym hotelu. To kosztuje! Nic tam przeciw niej nie ma, bo może będzie tu dziedziczką nawet, ale co strat w majątku się zrobiło, to już znak został.

Kurz na wargach miał gorzki smak chininy i sklejał usta milczeniem. Trzeba było udawać uważne patrzenie wgląd brudnych żydowskich zaułków, żeby ekonom nie schwycił wzroku i nie poznał całej bezradności cierpienia. Bruk miasta warczał już, jak karabin maszynowy, i zagłuszył rewelacje ekonomy.

W zajeździe u „Kowlerki“ huczał niedzielny gwar. Niebieskie ściany dużej izby poszarzały od dymu papierosów, a kwaśny zapach piwa kleił się w gęstem powietrzu. Franek wpadł w kotłowisko oddechów i głośnych, niemal wykrzykiwanych dyskusyj. Nie odrazu mógł się rozeznąć w kontrowersji zdań. Ale już dosłyszał coś o parcelacji, pożyczce, spirytusie, podatkach. Ktoś najgłośniej i na chwilę jakby samotnie mówił:

— Tłumaczę — panie starosto, rozpuściliście chłopca. Jest gorzej, niż za Austrii. Teraz chłop, rusiński chłop górą, a przecież to my tu podtrzymujemy polskość!



Z. REUTT-WITKOWSKA

2)

KONFUZJA PANA IGNACEGO

(epizod z „Dużego Toma“)

Zażyje pan Ignacy troszkę jeszcze tabaki ze wzruszenia; kichnie pięć razy.

— A teraz peruka — oznajmi uroczyście Marynia.

— A tak. Bo głowę miał pan Romuald nie dla kształtu. Coprawda, brzydki był i jak się urodził bez jednego włoska na głowie, taki już został. Ale temu właśnie zawdzięczał swe ocalenie w tej oto, jaką powiadam wam, przygodzie.

— Liszka ogona nie miała i w potrzask się nie złapała — podpowie Jula.

Kichnie pan Ignacy.

— Hm. Skoro już była Liszka, to ja zaraz do peruki. Bo miał p. Romuald perukę na miejsce włosów własnych, doskonałą. W Paryżu ją robili. Taka szczelna, taka akuratna... anibyś poznał, że nie własna szerść na łbie rośnie. A ponadto nie siwiała nigdy. I miał już pan Romuald pod sześćdziesiąt lat, a wyglądał, jak młodzik, bo włos miał gęsty, falisty, ryży... oraz i zmarszczek po twarzy drobniutkich sporo, jak na pieczonem jabłuszku.

— A brwi i rzęsy miał białe, bo z takimi się już rodził, prawda, proszę pana Ignacego? — wyrośnie z za poręczy Anuła, która na dobrą chwilę przyklekła, zrobiła się zupełnie malutka — za fotelem pana Ignacego.

— A brwi i rzęsy miał białe — powtórzy pan Ignacy i raz jeszcze zażyje niuch dobry tabaki; ostatni to przy powiastce o panu Romualdzie.

Sięga ku kieszeni... cofa rękę... Ale tam sterczy już filutka modra, chusteczka fularowa, jak bławatek w zbożu.

— ... Wpadają żandarmy do pokoiku... Kto zacz? skąd? po co?! Wyłgał się pięknie, a poty na niego biją. „Rzeczy temu gościowi obszukać“. Szperają żandarmy po manatkach. Pan Romuald nic. Siedzi przy stole, herbatkę popija, rumu dolewa. „Nu, a teraz gościa tego obszukać“. Rany Boskie!! Pan Romuald nic. Brwi białych nastawi, na żandarmów mężnie spoziera. Po kieszeniach szukają, szwów nadpruli... Nic!! Zabrzakali, zaszurgali nogami... Ugości ich pan Romuald herbatką, rumem... Matko Boska Kodeńska! Pić nie chcą, śpieszą, po kieliszku rumu lupnęli sobie dla rozgrzewki. Niema ich...

Odetchnie z ulgą pan Ignacy.

— A gdzie teraz była ta karteczka z raportem do pana Różyckiego? co? — powiedzie z za okularów okiem, pełnym triumfu, po dziewczynkach.

— Pod peruką była!! pod peruką!... proszę pa-

na Ignacego! — ucieszą się jedna przez drugą słuchaczki.

— A tak, właśnie. Tyle tylko miał czasu pan Romuald, że sięgnął do głowy po rozum... peruka z głowy, kartka na łysinę, peruka na głowę... i już żandarmy na karku... Uf! Dłaboga świętego! Trudne były czasy. A teraz jazda, panie Ignacy, do Braclawia! — z fotela wstanie wielki i chudy.

— To pan Ignacy do Braclawia tylko jedzie? — zadziwi się Jadwisia.

— E, trochę dalej... Do Kijowa! nie mówiłemże wam? Zanocuję w Braclawiu, pięknie, u księdza wikarego, a stamtąd pocztą do Winnicy, a stamtąd koleją. No, do zobaczyska panienkom; sługa i podnóżek...

Szoruja za nim aż do ganku. Wyszedł.

A wtem drzwi się za nim uchyla. Anuła woła szparką:

— A bałabuchy nam pan przywiezie, proszę pana Ignacego?

Bałabucha — to takie owoce w cukrze, na sposób kijowski.

Myślicie, że wszystko poszło, jak z płatka? Że za tydzień wrócił pan Ignacy i przywiózł pudełko bałabuchy?

Wrócił pan Ignacy. Ale, nim wrócił, wiadomo się stało pocztą najniezawodniejszą, babską pantoflową pocztą, że pan Ignacy Duchacz był, naturalnie, w teatrze kijowskim... i że był tam z ciotką pięknej Zośki, hafciarki... Bo, skoro Zosia za młoda, to dobrze będzie ożenić się choć z ciotką Zosi, wdową zacną i lat około czterdziestu. Wszystko prawda i wszystko pięknie, ale... Zosia otrzymała list od ciotki, że i ciotka za nic pana Ignacego nie poślubi, ale to za nic... bo w teatrze stała się rzecz okropna i nie do wiary wcale... Pan Ignacy miał na sobie piękny surdut cyrkonowy, a z kieszeni surduta wyglądała chustka, barwy bławatka.

I stało się, że sięgnął pan Ignacy po chustkę. A siedział tuż przy środkowym przejściu i ludzie już zasiadali na miejscach. I byli różni znajomi i nieznanymi. A ciotka miała swoją najpiękniejszą zieloną suknię. Pan Ignacy sięgnął po chustkę. Wtem... z szafirowej, bławatkowej chustki sypnęły się gradem na posadzkę teatru korki od flaszek... bez końca jakichś korków, koreczków, od wiśniaku, od jarzębiaku, od kminówki, od cytrynowki... od różnych domowych nalewek. Bo dwa takie same korki zostały w kieszeni i można je później było obejrzeć zbliska.

To wszystko opowiadała mamusi pani Miłkowska z wielką zgrozą, chwając białym ururkowanym czepcem.

— Dobrze mu tak! bo się może raz oduczy od tego guściku do wódki. Ale ktoby mu też taką przysługę oddał i natkał tych korków do chustki? Przecie to godny człowiek zresztą, zacności, a rzetelny, jakich mało! Dobrze mu... jednak żal człowieka, no nie?

Pani Miłkowska składa bieliznę do magła z Zośką.

Mamusia pod oknem siedzi i zwija włóczkę czerwoną. Anula trzyma pasmo na rączkach i robi się taka czerwona, jak włóczka.

Mamusia patrzy...

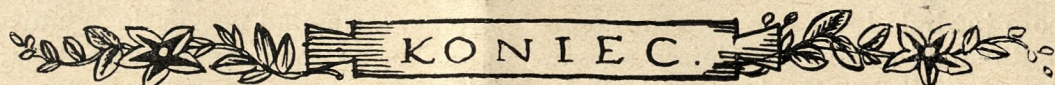
Wieczorem przyjechał pan Ignacy i przywiózł bałabuchy.

— A to, proszę pani dyrektorowej, dla panienek. Tylko nie przedzej, jak na Wielkanoc. Niechże im do łakoci śpieszniej nie będzie, figlarkom (bo ichże to sprawka, o czem już w okolicy głośno) nie śpieszniej, powiadam, niż mnie do nalewki: ani jej tknę do samych świąt, bom nie pijak żaden — obruszy się pan Ignacy.

Na dobranoc przyznała się Anula mamusi do tych korków, naładowanych panu Ignacemu do błękitnej chustki w cynamonową kieszeń, kiedy się tak bardzo zapalił opowieścią o panu Romualdzie, o peruce i powstaniu.

A na Wielkanoc jadły dziewczynki bałabuchę kijowską, pan Ignacy zaś pił nalewkę domową i przyjmował życzenia z powodu zaręczyn swoich z Zośką, hafciarką, a pośpiewywał sobie: „uciekła mi przepióreczka w proso...“.

Bo lubił śpiewać pan Ignacy Duchacz.



STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW

JEDEN DZIEŃ W STOLICY ŁOTWY

Miasto jest jak człowiek. Im bogatszą ma przeszłość, tem żywiej przemawia do wyobraźni. „Jutro“ jest nieznanne, „dziś“ jest jasne, przejryste i... nieciekawe, tylko „wczoraj“ ma urok rzeczy niezmiennych, niepowrotnych, z pod których wyzwolić się nie można.

Ryga jest dziś stolicą młodej Rzeczypospolitej łotewskiej. Szybkiemu rozwojowi kulturalnemu tego państwowego noworodka, powołanego do bytu przez wzniosłą ideę samostanowienia o sobie narodów, musi towarzyszyć sympatja i szacunek, należne zwycięstwu sprawiedliwości nad przemocą. I towarzyszy. Ale cały ciężar zainteresowania turystycznego spoczywa zawsze na przeszłości i podróżny instynktownie garnie się pod skrzydła wspomnień, krwawo-

złotą nicią zachodu opisujących na perłowym niebie poczerniałe mury, blanki, szkarpy i wieżyce starej Rygi.

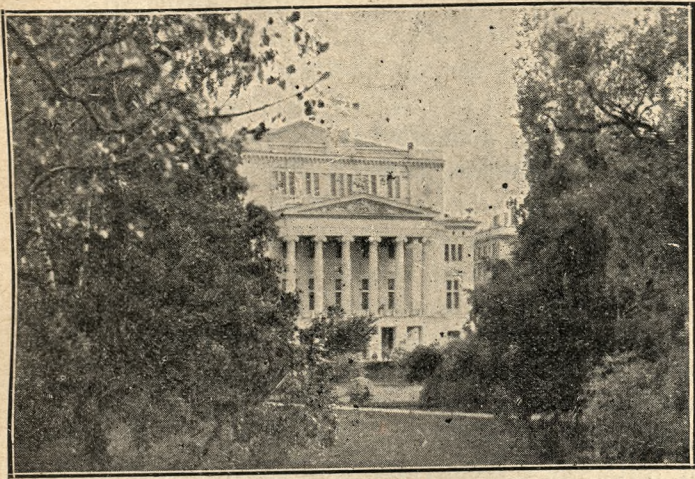
I dopóki stać będą te mury, wzniesione z butną myślą o wiecznotrwałej potędze, dopóty Ryga pozostanie grodem Kawalerów Mieczowych i kupców hanzeatycznych, pod gotyckimi żebrami sklepień ukrywającym spopieliałe serce średniowiecza. Czas zagoił blizny po ranach, jakie najeźdźczy germański feudalizm zadawał prawym dziedzicom tej ziemi. A zresztą późniejsze rządy carów i „wiernych tronowi“ baronów tyle spiętrzyły krzywd, że pod ich nawarstwieniem znikły i wygładziły się stare urazy. Legenda przerzuciła złoty most między dwoma światami: tamtym, co minął nazawsze i tym, który do-



Morze nas tu przyniosło i ono za chwilę zabierze.



Uroczy zakątek nad morzem.



Ryga. — Gmach Opery.

piero co się narodził. Wstęp na ten most wolny dla wszystkich, którzy umieją porozumiewać się z duchami mową stuleci. Mostowe płaci się wyobraźnią.

Osobliwością Rygi jest dom Czarnogłowców. Z tą nazwą spotkać się można i w innych miastach bałtyckich. Była to instytucja o charakterze czysto klasowym, wzorowana na średniowiecznych zakonach rycerskich. Do Związku Czarnogłowców należeć mogli tylko przedstawiciele patrycjatu ryskiego, ściślej mówiąc, bogatego kupiectwa, pozostający w stanie bezzennym. A zatem coś w rodzaju męskich kanoniczek. Stowarzyszenie to przetrwało do naszych czasów. Tylko że Czarnogłowcy dawni stanowili pono zakonspirowaną potęgę finansową i trzęśli polityką miast hanzeatyckich, a dzisiejsi wegetują w starokawalerstwie klubowym. „Sie transit gloria mundi!“. Fasada domu jest prześliczna, kapryśny klejnot architektury. Wnętrze utrzymane w tym poważnym, dostojnym stylu, w którym najbujniejsza nawet młodość musiałaby porosnąć mchem. Z gęsto rozwieszonych kotar, mebli, kobierców zdają się ulatywać mole i nuda. Beznadziejność starokawalerstwa wieje z każdego kąta, jak stęchlizna. Nic też dziwnego, że częste odstępstwa w kierunku matrymonjalnym dziesiątkują szeregi niedobitków. W zeszłym roku było jeszcze 16 Czarnogłowców, w obecnym już tylko 12.

— Czy umarli? — zapytujemy kustosa kamienicy.

— Nie! — odpowiada ze smutkiem godny starszek — pożenili się

„Czarnym“ głowom pilno widać do siwizny rodzinnego żywota...

W skarbcu pokazują nam cenne puhary, wazy, misy, kubki z masywnego srebra, widome ślady minionego przepychu, jaki towarzyszył niegdyś ucztom korporacyjnym. Martwe dzbany, z których wypięniło się bezpowrotnie szumiące morze życia...

Nikomu nie przyszło do głowy utoczyć z nich wina, kiedy na górnym piętrze poważni, czarni pa-

nowie podpisywali traktat ryski. Wchodzimy do historycznej już dziś sali, gdzie pamiętny stół pod ciemno-czerwonem sukniem i otaczające go fotele zastrygły w pozie ceremonjalnej. Ktoś odsuwa jeden z foteli i pokazuje parę drobnych, ciemnych plam na posadzce.

— Co to ma znaczyć?

— To członek jednej z delegacyj rzucał niedopałki papierosów na podłogę — brzmi dyskretna odpowiedź.

Nie pytamy dalej, ale robi się nam trochę nieprzyjemnie. Rozumiemy, że nasz rodak mógł być zdenerwowany i że od męża stanu wymaga się przede wszystkim dobrej orientacji na mapie, a nie w topografii popielniczek, ale nasz wrodzony snobizm ponosi ciężką porażkę. Anegdota anegdota, kto wie, ile w niej jest prawdy, ile naszej wrodzonej złośliwości (bo przecież my każdemu musimy przypiąć łatkę), ale że sporo w nas jeszcze tkwi salonowego i nietylko salonowego niechlujstwa, to fakt. Nie zapomnę nigdy widoku reprezentacyjnych sal Prezydium Rady Ministrów w Warszawie po balu prasowym. O godzinie czwartej nad ranem wszystkie boczne salony wyglądały, jak kordegarda, albo poczekalnia kolejowa. Już nie setki, tysiące, ale całe stosy zmiętych niedopałków walały się po framugach okien, pod stołami i na stołach, nawet na cennych dywanach. Ten widok nazawsze zdmuchnął mi z przed oczu legendę o „francuzach Północy“. Rozwiała się, jak dym z papierosa.

Ale tutaj, w tym ponurym przybytku nudy, te drobne piętna, wypalone na dębowej posadzce, obudziły we mnie refleksje odmiennej natury. Stały się oto sobie oko w oko dwa światy: dawny, któremu nigdy nie było pilno, bo obliczał swoje dzieła na wieki, i ten nowy, który zawsze się śpieszy, zadyszany w pościgu za momentem. Tamten zostawił po sobie mury, do których cienia garniemy się, jak pisklęta pod skrzydła wielkości, ten nie ma czasu na monumentalność.

Oto tutaj rozegrał się początek epilogu wielkiej wojny, z morza krwi wyłoniły się embrjony nowych państw, zaciskały się zęby i zwierały się pięście, któ-



Kryształowa świetlistość wypełnia powietrzne luki między niebotycznymi sosnami.



Wybrzeże morskie w okolicach Rygi.

rym, zamiast karabinu, kazano trzymać pióro, tu, na tym stole wiła się Europa w mękach porodowych i... jako jedyna pamiątka tej chwili dziejowej w tej sali zostało — kilka nikłych plamek na dębowej posadce, ślady palców ognistych, którymi historia wypisywała: sprawiedliwość i zadośćuczynienie.

I mimowoli narzuca się pytanie, który z tych światów bliższy jest naszemu sercu, sercu nieuleczal-

nych romantyków — czy tamten, szturmujący do nieba strzelistymi pociskami wież kościelnych i baszt zamkowych, czy ten, co, nawet gasząc pożar wielkiej wojny, w pogoni za nowymi formami życia niedbale prószony ogniem po zgłiszczach? Bezwątpienia drugi bliższy jest rzeczywistości...

Ta rzeczywistość zaraz za progiem spojrzała na nas oczami, budzącymi najradośniejsze nadzieje. Były to oczy polskich skautów, stałych mieszkańców Rygi. Przemile chłopaki czyniły nam honory domu z sumiennością iście harcerską, z wdziękiem i zapalem młodości, triumfalnie wkraczającej w życie. W ich towarzystwie i pod ich przewodnictwem zapominaliśmy o zmęczeniu, gnani bez tchu wśród upalnego dnia po starych giełdach, muzeach, kościołach protestanckich, wiejących chłodną surowością wnętrza i pustką ścian, nagich, jak tafla lodu. Ci młodzieńcy, żywi, jak iskry, to przecież jakby nowe, poprawne wydanie tych Arkonów i Weletów, których bujny temperament wyladowywał się niegdyś w życiu korporacyjnym, dostępnym polskiej młodzieży studenckiej tylko tu, w murach gościnnej Rygi. Przypadkowe pokrewieństwo, czy istotna antyteza, bo o ileż skala ideowa dzisiejszego skauta przerasta przyziemną, nieco brutalną tężyznę dawnego bursza.

Po wędrowce wśród gęstwiny „żywych kamieni“ pilno nam odetchnąć szerokim powiewem morza. Pakowny autobus doskonałą szosą wiezie nas do nadmorskiego letniska. Za drewnianymi sztachetkami wdzięczą się, tonące w zieleni, pretensjonalne wille w stylu szwajcarsko-petersburskim. Typowe rosyjskie „daczki“. Kryształowa świetlistość pogodnego dnia wypełnia powietrzne luki między niebotycznymi sosnami. Po piaszczystym zboczku zbiegamy na plażę. To znane w całej Rosji kąpielisko nazywało się dawniej Majorenhof, dziś się nazywa Lielupe, czy coś podobnego. Nazwy się zmieniły, ale morze pozostało takie same. Obojętne na ludzkie sprawy, łagodne i ciche w pogodę, groźne podczas burzy. Ono nas tu przyniosło i ono nas za chwilę, gości jednolitych, w dalszą wędrowkę zabierze.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA

SWATKI PARYSKIE

Wykazy statystyczne Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu zaznajomią szeroki ogół z działalnością Opieki Polskiej w Paryżu, ale...

Ale są działy pracy, o których wykazy zamilczą, działy pracy drobnej, nikłej, codziennej, a doniosłej w skutkach. Pracy... nad duszą polską na emigracji.

Bo jeżeli się da pracę i chleb w rękę tym masom — to już dużo.

Ale jeżeli się te masy ocali od zgnilizny przedmieść paryskich — to o wiele... wiele więcej!

*

Jak kropla w morzu, ginie się w ogromie Paryża. Nikt nie skontroluje, nikt nie dopilnuje, ani naszej Magdy, ani naszego Antka. Nikt.

„Ani ksiądz-dobrodziej nie zwymyśla z ambony. Ani ojcowie nie zbijom. Ani przed ludźmi nie wstyd, bo nikt nikogój nie zna“. A zresztą...

„Co ja gorsza od innych, kiej wszystkie tak żyjom?“.

Więc ślub w „Mery“ (wymawiają dosłownie, z akcentem na pierwszej sylabie), albo i... całkiem bez „Mery“ żyją jedno z drugim. I pewnego dnia zjawiają się do Opieki Polskiej prosić o pracę, albo o opiekę nad dzieckiem.

— A nie wstyd to wam, żyć tak bez ślubu, jak „zwierzaki“ jakie?

— Ja dyć „żona“ prawdziwa. „Livre de mariage“ w Mery dostałam.

Zaczyna się akcja dyplomatyczna swatki. „Pani“ nie mówi o religji, bo to nie robi dobrego wrażenia, tylko pyta:

— A do Polski to nigdy nie wrócić?

— Jakby nie? Wrócimy. Uciułamy ten grosz i musowo wrócimy.

Wtedy „pani“ stawia im przed oczy wizję przyszłości w kraju:

— A to, widzisz, we wsi powiedzą ci: jaka ty tam „żona“, kiedy nie ślubna? Ani sprzedać nic nie będziesz mogła, ani kupić, ani dziecka ochrzcić, ani z rodziną żyć, ani ze znajomkami, tak.

W odpowiedzi na tę przemowę znajduje się mnóstwo wymówek natury finansowej, a to:

— Ślub w St. Séverin drogo kosztować będzie. Papiery w konsulacie płacić trzeba. Suknia dla Maryśki biała, chyba ze 100 franiów kosztowała będzie? — i... skrobie się chłop za uchem.

Wtedy „pani“ wszystko ułatwia, aranżuje, budżet szczegółowo omawia, ułatwia formalności ślubne, w konsulacie prosi o zwolnienie z opłat, z księdzem porozmawia...

Wkońcu... biegnie na ślub, aby w zakrystji państwu młodemu to dobre słowo dać, rozrzewnia się na myśl, że „oni“ tu mają tylko „nas“ (Opiekę), wreszcie... zostaje zaproszona przez „młodych“ na „kawkę“ do „kofejki“ (cukierni). Wymawia się. Wraca do domu uradowana, że dało się to wszystko przeprowadzić i jedną więcej polską rodzinę stworzyć na obczyźnie.

*

Nie zawsze to tak łatwo idzie.

P. Stokowska, zarządzająca „Sekcją kobiecą“ żali się do mnie na tę trudną sytuację, jaka z konieczności wywiązuje się z chwilą, gdy takie małżeństwo nielegalne nie chce słyszeć o ślubie.

— Z konieczności — mówi — idziemy na kompromisy. Uprawiamy jakoby podwójną moralność: chcąc nie rozbić rodziny, tolerujemy te „quasi“ małżeństwa. Wolimy z dwojga złego ten stan rzeczy, niż osamotnienie kobiety, która schodzi w 90% na złą drogę, zmieniając kochanków. W najgorszym razie i tą osamotnioną opiekujemy się.

Szczegółowe dane, dotyczące tego działu „Opieki“, zamieściłam w poprzedniej mojej korespondencji, p. t. „Te, które opuszczono“; dziś więc tylko

dodam, że z każdym miesiącem stan pracy dla kobiet w Paryżu polepsza się. Zapotrzebowanie duże, głównie na służbę domową. Kucharek wykwalifikowanych brak (poszukiwane do rosyjskich restauracji i do polskiej restauracji „Bartka“). „Patronki“ francuskie są bardzo dobre dla naszych Magd i o ile tylko w pracy „taka Magda“ okaże się „sérieuse“, zostaje oceniona, w postaci nadwyżki pensji, życzliwości i opieki. Każda francuzka, umiejąca dobrze swoje „sous'y“ rachować, oblicza, że zupełnie kalkuluje się płacić polce 400 fr. miesięcznie, zamiast dwum francuzkom po 300 fr. Taką służącą nazywa ona „perłą“. Dla takiej służącej zrobi wszystko. Jeżeli taka „perła“ ma... dziecko — w oczach „madame“ nic ten mały „accident“ blasku tej „perły“ nie zaćmi. „To się może trafić każdemu“ mówi ona; odwiedza chorą w szpitalu, a potem opłaca „nourrice“ dla dziecka po 120 fr. miesięcznie.

Ten sposób zapatrywania na życie pań francuskich często utrudnia działalność „swatkom paryskim“. Jak tu kojarzyć małżeństwa, kiedy się słyszy:

— A na co mi ta mąż? Kiej mi ta samej całkiem dobrze...

*

Trzeba temu coś przeciwstawić. Postanowiły więc „panie“ z „Opieki“ założyć „Ognisko“. Nadole, w domu „Opieki Polskiej“ w Paryżu (Nr. 11 Rue de L'Interne Loeb), odnowiono pięknie dwa jasne pokoje. Ustawiono stoły, przykryto je sukniem. Na stołach porzkładano pisma. Na ścianach, w obramowaniu wstęg narodowych, pozawieszano portrety Prezydenta Mościckiego i Marszałka Piłsudskiego. Na prawo od wejścia rozgościła się duża, ciemna, przysadzista szafa biblioteczna (wypożyczalnia książek). Dalej, na stoliku... gramofon!

Co niedziela schodzą się dziewczęta, schodzą się chłopcy. Bawią się, czytają, z „Panią“ w domino grają (!).

Na bocznej ścianie, w małych rameczkach — fotografia.

A na niej?

W środku: siedzi sobie panna młoda w białej sukni, w welonie i trzyma bukiet białych kwiatów. Obok siedzi pan młody, ma biały kwiatek, przypięty do ciemnej marynarki i „godnie“ na kolanach przez fotografa ułożone ręce. Siedzą sobie tacy uroczyści, a obok i za nimi stoi rozbawiony tłum członków „Ogniska“.

— Fotografia? — pytam p. Gniewińskiej.

— Fotografia pierwszej w „Ognisku“ skojarzonej pary — odpowiada mi z dumą.

— Przykład bywa zaraźliwy.

— Daj Boże! w każdym razie zainteresowanie w „Ognisku“ tą parą szalone. Wszyscy obecnie biegają nieprzytomni z emocji, bo „oni“ spodziewają się „dzieciaka“.

Więc „Ognisko“ będzie czynnikiem pomocnym w zawiązywaniu „marjaży“.

Drugim czynnikiem jest wyszukiwanie pracy dla małżeństw. „Opieka“ zatrudnia ojców przy robotach rolnych (płatnych od hektara), przy robotach ziemnych (tory kolejowe, okopy, kable telefoniczne, kanalizacja), przy robotach przemysłowych (fabryki chemiczne i metalowe). Płatni są oni naogół dobrze, zapotrzebowań zaś więcej nieraz, niż kandydatów (np. w Soisson, gdzie nie było chętnych na 35 zgłoszeń do robót ziemnych). Robotnicy często wybiedzają, zwlekają z przyjęciem pracy, by ceny sztucznie podbić, grymaszą:

— A to praca nie pod dachem...

— A to przenosić się trza z miejsca na miejsce i w wagonowej kantynie makarony i makarony zjadać trza.

Zjadłże walki staczają oni o tę włoską kuchnię i „odmawiają się“ od przyjęcia pracy, stawiając argument nie do przewyciężenia: — Makarony! — Rien à dire.

Jednak, gdy pojada, ciułają grosz dla „swojej“ i dzieci, bo... nie mieli gdzie „franków“ wydać, wagon stał w pustem polu i nie było „ani cynema, ani kofejki“.

*

Oprócz „Ogniska“ i wyszukiwania pracy dla ojców rodzin, trzecim dodatnim czynnikiem w zawiązywaniu „mariage“ jest opieka nad „ich“ dziećmi. Ludzie kochają swoje dzieci, a „Opieka“ rozdaje zielone kartki (czy kolor ten wybrano, jako symbol nadziei?), na których „napisano stoi“: Pomoc Macierzyńska przy Opiece Polskiej wspiera i opiekuje się każdą matką-polką (adres).

By lepiej zobrazować, jak wygląda ta „opieka“ nad dzieckiem i matką, zamieszczam tu kilka wielomówiących, podsłuchanych rozmów z „paniami“ z Opieki.

— Sukienkę pani mogłaby dla mojej małej dać?

— Idźcie do tamtej pani, to ona się tem zajmuje.

— Panią to... panią to ja już tyle roków znam. Pani mi da sukienkę. Pani dobra, a tamtej ja nie znam.

Albo:

— Oddać tam dziecko do tej nauczycielki na Pelleport (dzielnicą Paryża), czy nie?

— Oddać, pani Winnicka. Dobra nauczycielka i dobra kobieta, zaopiekuje się dzieckiem waszem, jak swoim.

— Na cały dzień?

— Na cały dzień.

— A pracę jaką dla mnie może pani dać?

— Do robienia koralików, do fabryki chcecie?

Po 3 fr. 50 cent. za godzinę. Wprawicie się, możecie zarobić po 4 fr. za godzinę.

— Ile ja tam mogę zarobić dziennie, bo chcę tej nauczycielce...

— Ze 30 fr. dziennie, jak wam dobrze pójdzie. A wiecie, jak na Pelleport jechać?

— A dyć do Italji podziemną kuleją i coś ze dwa razy przesiadka.

— No tak, jak wiecie, to dobrze.

Albo:

— „Nourrice“ bym prosić chciała dla mojego małego.

— A ileż ono ma, to wasze małe?

— A... to piętnaście dni stare...

*

A potem przeglądam sprawozdania z Kolonij Letnich...

Ogółem z funduszu Kolonij Letnich korzystało 39 dzieci i 6 skautów.

Suma, wyegzekwowana na ten cel — 10.970 fr.

Dzieci badane były przez Dr. Chądzyńską i, zależnie od djagnozy, wysyłane na wieś, lub nad morze.

Koło portu Mahon, na północy Francji, nad morzem, w Zakładzie Sióstr Klasztoru Św. Kazimierza, znalazły gošcinę trzy dziewczynki (wróciły bardzo dobrze wyglądające).

Z polecenia pani ambasadorowej Chłapowskiej, a na skutek interwencji pani Gniewińskiej — 2.000 franków otrzymali skauci, na urządzenie letniego obozu.

W departamencie Seine et Marne, niedaleko Paryża, holender, właściciel zalesionego wzgórza, ofiarował naszym skautom teren i... jarzyny (gratis). Rozbito dwa namioty.

Na słupku wywieszono kartkę z rozkładem zajęć dziennych i... „menu“. Drużynowy Krótkiewicz opiekował się całą gromadką. Skaut-kucharz wywiązywał się świetnie z zadania (co p. Gniewińska osobiście mogła stwierdzić). Obiad z czterech dań. Dwa razy na tydzień mięso. Jako trunek „coco“ (wywar z roślin).

Cudowne, suche powietrze. Słońce. Zajęcia dzienne. Ćwiczenia. Śpiewy. A wieczorem — zapalone ognisko.

*

Więc wdzięczni rodzice składali potem podziękowania. Załączam wymowny list pani Szynkowskiej, mamy pięciu chłopaków (!).

„Paryż, 26.VII 1928 r.

Serdecznie dziękuję Opiekę Polską za udzielenie mi pomocy piniężnej w kwocie osimset frankuf wręczonym mnie przez panią Małachowską na letnie wypoczynek moim dzieciom, którą tak jest niezbndny a środki moje nie pozwalały jeszcze raz serdeczny Bug zapłać wszystkim czynnikiem Opieki pozostaje wdzieczna

E. Szynkowska“.

Było, podobno, więcej podziękowań, niemniej czułych, choć ustnych.

Swatki swatają.

Czasem znów godzą poważnione małżeństwa.
*

Czasem... trafi się taki mazur-zabijaka, co ani słyszeć o pogodzeniu nie chce, a tylko bije „swoją“ tak, że ta umiera od razów. Potem wraca do kraju, uwalniając się od dziecka. Maleństwo zostaje gdzieś zapomniane u nourrice francuskiej. Tak było z opuszczonym, małym Tadzkiem Michalskim. Opuścił go ojciec, ale nie opuściła go Opieka polska — repatriując maleństwo do babki pod Okocim. A ile to z tem było mitręgi!

Zaalarmowano: 1) Assistance Française, 2) Konsulat w Paryżu, 3) Województwo, 4) Ochronę Kobiet w Poznaniu, 5) Rejenta w Okocimiu — w końcu: kupiono delikwentowi wyprawkę w „Gallerie Lafayette“, aż za 185 fr. (fartuszek z kaczkami), wy-

starano się o opiekunkę, która go odwiozła do Poznania i doręczyła babci za pokwitowaniem.

Wszyscy w Opiece Polskiej i w Konsulacie podczas repatriacji baka chodzili nieprzytomni. Była obawa, czy dwuletni Tadek jest rzeczywiście Tadzkiem autentycznym? Czy przez dwa lata nie pomylono nazwisk? Nie zamieniono dzieci? Tyle tysięcy jest tych opuszczonych maleństw we Francji! Ale nie — panna Stokowska zapewnia, że stanowczo — nie:

— Jasna głowina — mówi — i typowa, szeroka buzia polskiego dzieciaka.

Zresztą, nadszedł niedługo od babci list dziękczynny. Mały okazał się podobny niezmiernie do zmarłej córki. Wyprawka z „Gallerie Lafayette“ zrobiła kolosalne wrażenie na wsi polskiej.

Gorzej — z gaworzeniem malca:

— ... Coś tam — pisze babka — bełkoce po obcemu i jeść po polsku nie bardzo kce...

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

DZIECI, KTÓRE NIE WIDZIAŁY WSI I PRAWDZIWEGO LASU...

Było niegdyś dla „ogółu kulturalnego“ rzeczą normalną i sprawą obojętną, że dzieci proletariatu miejskiego spędzały wakacje na ulicy.

Gdzież miały się podziać? Wyjazdy na wieś były rzeczą niedostępną dla ludzi niezamożnych, a na kolonje letnie dostawała się z trudem garść dzieci wybranych... czyli najbardziej upośledzonych fizycznie, zagrożonych gruźlicą. Zdrowe dzieci mogły waleśać się, ile chciały, bez opieki, bez celu, na terenach jak najmniej sprzyjających ich zdrowiu i rozwojowi moralnemu: na podwórzu, na ulicy, na podmiejskich bezdrożach...

Gdy parę lat temu przeprowadzono ankietę w warszawskich szkołach powszechnych, okazało się, iż bodaj 25 proc. dzieci nie widziało nigdy wsi i lasu, a z miasta nigdy nie wyjeżdżało...

Jeśli do tego dodamy wybitnie złe warunki zdrowotne większości naszych miast, pozbawionych kanalizacji, ubogo „ozdobionych“ zielenią, posiadających parki i ogrody na pokaz, za wstępem płatnym dla publiczności, a okolice podmiejskie podobne do śmietników — mamy obraz nędzy i upośledzenia dzieci, zamkniętych w dusznych murach miasta, śpiących i wietniejących w ciemnych i zatęchłych izbach.

Dziś obraz ten radykalnie i szybko zaczyna się przestarczać. Nietylko rozpowszechniły się wyjazdy na letniska wśród rodzin niezamożnych, lecz dbają-

cych o dzieci i rozumiejących korzyści pobytu na „świeżem powietrzu“, nietylko kolonje letnie z roku na rok zabierają coraz większą liczbę dziatwy słabowitej i wywożą ją na kurację do zdrojów i uzdro-



Zabawa dziewczynek na półkolonjach.



Z półkolojsi letnich. — Grupa chłopców na plaży.

wisk, na kąpiele lecznicze, nad morze, w góry, nietylko obozy letnie wchłaniają rzesze dzieci zdrowych i zdolnych do prowadzenia trybu życia surowego i hartownego na tle przyrody — na bruku miejskim częstym widokiem w lecie są setki i tysiące dziatwy z wychowawcami, dążącej na wycieczki, do parków, na boiska i place zabaw.

To półkolonje letnie.

Niewątpliwie półśrodek, ale tak interesujący w swej koncepcji, tak doniosłego znaczenia i głębszej społecznej wartości, że warto poświęcić tej sprawie więcej uwagi.

Byłoby ideałem, gdyby wszystkie dzieci mogły opuścić miasto na czas wakacyjny, gdyby mogły korzystać z odświeżającego i pierwszorzędnie dla ich organizmów i dusz ważnego pobytu wśród żywej przyrody.

Półkolonje, jak każdy półśrodek łagodzą ową tragiczną dysproporcję, jaka istnieje dla dziecka między szczęśliwym i swobodnym spędzeniem lata na wsi, a zamknięciem w murach rozpalonego miasta, gdzie brak nawet oddechu dla płuc.

Pierwsze u nas półkolonje letnie powstały przed kilkudziesięciu już laty w Krakowie. Myślą zasłużonego lekarza, dra Henryka Jordana, było stworzenie dla dziatwy miejskiej warunków możliwie zdrowotnych w ciągu przymusowo w mieście spędzanego lata. I Kraków od szeregu lat ideę tę pielęgnuje, jako punkt wyjścia tej akcji przyjąwszy ogród imienia przyjaciela młodzieży — dra Jordana.

Zatrważające wyniki badań nad zdrowiem dziatwy w Warszawie i Łodzi, stwierdzone fakty demoralizacji, wywołane puszczeniem dzieci samopas na ulicę w porze wakacyj — poprostu zmusiły społeczeństwo do podjęcia akcji półkolonijnej w szeregu większych miast. Skutki okazały się bardzo dobre.

System półkolonijny wytworzył w ciągu lat

specjalne metody i organizację zabaw, ćwiczeń, rozrywek i zajęć dla dziatwy, wciągnął w pracę zastępy nauczycielstwa, młodzieży uniwersyteckiej, zatrudnianej, w charakterze wychowawców, wreszcie nieufne zrazu rzesze rodziców, rekrutujących się przeważnie ze sfer proletariatu. Potrzeba i niezbędność tworzenia półkolonij okazała się wkrótce tak wielka, że poruszyła zarządy miast, instytucje społeczne, samorządy i czynniki administracyjne do poparcia i współpracy, do ponoszenia kosztów i wydatków, nawet do rywalizacji — kto więcej dokona?

A dzieci?

Sam widok ich jest nagrodą dla czynników społecznych, które tę akcję prowadzą.

Niema porównania między dziećmi z półkolonij, a biedactwami, jakich rzesze do niedawna szukały letnich przygód w rynsztokach i śmietnikach. Ugrupowane według wieku, pod opieką wychowawców wykwalifikowanych, dzieci spędzają czas na wolnym powietrzu, na zdrowych rozrywkach ruchowych i sportach. Odbywają piesze wycieczki za miasto, przejażdżki statkami i t. p.

Doświadczenie paroletnie wskazało nowe dziedziny zajęć dla dzieci, wydobyło na jaw nowe potrzeby. Na warszawskich półkolonjach stworzono na przykład oprócz kąpiei i plażowania, systematyczną szkołę pływania, i wiosłowania dla starszej dziatwy. Sporty te cieszą się olbrzymim powodzeniem u dzieci, a ich znaczenie zdrowotne i rozwojowe jest przecież nadzwyczajne. Wprowadzono też łucznicstwo, piękny, estetyczny sport, chętnie uprawiany przez dziewczynki. Chłopcy wolą strzelanie z wiatrówek — mniej znacznie pożądane, z punktu widzenia wychowawczego.

Niezbędne dla dzieci na świeżym powietrzu, dzieci ubogich, okazało się dożywianie. Mleko i bułki — to najprostsze pożywienie dziecka, pochłaniane

byłoby w ilościach fantastycznych — gdyby zasoby rodziców i instytucyj opiekuńczych nie zmuszały do ograniczania porcyj... Niestety!

Niemniej jednak znać na twarzyczkach dzieci półkolonijnych korzyści pobytu. Opalone, rumiane, pełniejsze, niż w zimie. Wesoło iskrzące się oczy mówią o dobrym humorze, oznakach zdrowia. Dużo śmiechu i swobody godzi się doskonale z karnością, zapewne nawet pomaga do utrzymania nastroju nieprzynuszonej i dobrowolnej dyscypliny. Zwłaszcza, że przeważnie wychowawcy stosują coś niecoś z systemu harcerstwa, dzieląc dzieci na zastępy pod wodzą wybranych starszych i zasługujących na zaufanie — zastępowych.

Moralny wpływ zespołowego współżycia na swobodzie znacznie rozleglejszej niż w szkole, ma wielostronne znaczenie. Rozwija koleżeństwo, wzajemną usłużność i współczucie dzieci między sobą. Pozwala na zbliżenie wychowawcy do dzieci, pozbawione niemal zupełnie cech przymusu. Ukulturalnienie dzieci, pobudzenie ich ambicji, wytrwałości, uspołecznienia we współzawodnictwie staje się w tych warunkach zadaniem nader wdzięcznym i osiągalnym w dużej mierze.

Z ust wychowawców półkolonijnych słyszy się najczęściej, że dzieci są miłe i dobre — słyszy się również, że są bardzo biedne i zaniedbywane przez rodziców.

Drugą tedy stroną działalności opiekunów półkolonij stało się wciągnięcie do współpracy i rzesz rodzicielskich, powołanie ich do wniknięcia w istotę sprawy, tak bardzo obchodzącej ich dzieci, wskazanie niejednokrotnie drogi pedagogicznego postępowania z dziećmi. Zebrania rodzicielskie, tłumne, ożywione,



Grupa dziewczynek z przedstawienia amatorskiego na półkolonijach letnich.



Z półkolonji letnich. Chwila „spokojnej zabawy“.

podczas których rozważa się żywotne zagadnienia i przykłady z aktualnej praktyki półkolonijnej, to bardzo ważne uzupełnienie dzieła ratowania dziatwy przed wielkomięjskimi pokusami i niedolami.

Półkolonje sprawiły, że dziś już niemożliwa jest ta okrutna obojętność „kulturalnego ogółu“ dla dziecka wielkomięjskiego. Dziś już oko człowieka, niezastanawiającego się nawet nad kwestjami społecznymi, razi widok wałęsających się po ulicy malców.

— Dlaczego chłopcy grają w guziki w brudnej sieni? Dlaczego bawią się na jezdni, przesypując kurz uliczny przez wątle rączki? Dlaczego krzyczą na siebie ordynarnymi wyrazami, rzucają za sobą kamieniami? Dlaczego nie są na półkolonji? — Trzeba im dać piłkę do ręki, umyć czysto, wykapać, zaprowadzić do parku i oddać pod opiekę półkolonji... — tak powie dziś każdy przechodzień na widok dzieci, bawiących się na ulicy.

A mówiąc tak — tem samym poczuwa się do świadczeń na rzecz „dziecka ulicy“, na jego półkolonje.

Powszechną stała się bowiem świadomość, że dzieckiem zając się należy, że skoro warunki ekonomiczne i kulturalne nie predestynują do tego rodziców, naturalnych opiekunów dziecka — obowiązek ten musi podjąć społeczeństwo.

Ustalenie się takiej świadomości — to naprawdę bezcenna zdobycz dla przyszłości naszych pokoleń.

Jeszcze jedno: idea półkolonij sama swem istnieniem zrodziła potrzebę kontynuowania opieki nad dzieckiem poza szkołą także i w ciągu całego roku.

Nietylko w porze wakacyj letnich dzieci wielkiego miasta pozbawione są zdrowego ruchu, rozrywek, sportów... O zorganizowanie stałej instytucji opieki pozaszkolnej wołają sfery nauczycielskie, uspo-

lecznione, rozumiejące całą korzyść takiej opieki w środowiskach, pozbawionych możliwości kulturalnego wpływu na dziecko. Niewątpliwie mają rację.

I w tym właśnie objawia się doskonały efekt społeczny półśrodka, jakim są półkolonje letnie.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

WYŻSZE KURSY PRACY SPOŁECZNEJ W WARSZAWIE.

Praca Społeczna w Polsce ma przed sobą zadania wielkiej doniosłości narodowej. Wprowadzanie szerokich sfer obywateli w świat polskich wartości cywilizacyjnych, podnoszenie dobrobytu ludności i siły ekonomicznej narodu m. in. przez uświadomienie zawodowe i oddziaływanie organizacyjne na stosunki ekonomiczne w sposób przeniknięty duchem społecznym, opieka społeczna nad dziećmi i młodocianymi i zapewnienie im należytego wychowania, ubezpieczenia społeczne i higiena publiczna, te i inne obowiązki społeczne, nie mogą spaść wyłącznie na państwo, jeżeli mają być spełnione w stopniu, jakiego wymaga dobro narodu; musi się ich podejmować społeczeństwo, zorganizowane w instytucjach różnego typu.

Przygotowanie współczesnych działaczy społecznych nie może ograniczać się, jak to dawniej bywało, wyłącznie do praktyki w instytucjach. Nietylko kierownicze siły instytucyj społecznych, ale także wszyscy ich działacze, jeżeli mają pracować świadomie i twórczo, muszą zdobyć mocne ugruntowanie ideowe, głębsze podstawy naukowe, a z nowoczesnymi metodami i techniką pracy w dziedzinie życia społecznego zaznajomić się w sposób systematyczny.

Temu przygotowaniu mają służyć Wyższe Kursy Pracy Społecznej, w zakresie nauki postawione na akademickim poziomie. Służą one zarówno tym, którzy są już czynni na polu pracy społecznej, jak i tym, którzy się do niej sposobią, a są należycie przygotowani, by móc korzystać z nauki o wyższym poziomie.

Wyższe Kursy Pracy Społecznej powstały z inicjatywy Zjednoczenia Polskich Towarzystw Oświatowych „Polskiej Macierzy Szkolnej“ i „Biura Pracy Społecznej“ w Warszawie. Komitet Organizacyjny W. K. P. S. stanowią następujące osoby: ks. biskup A. Szlagowski, prof. Wł. Grabski, prof. B. Wasiutyński, dr. J. Świeżyński, dyr. J. Stemler i dyr. S. Miklaszewski.

Nauczanie na Wyższych Kursach Pracy Społecznej będzie trwało 2 lata, czyli 4 semestry i będzie miało charakter akademicki uzupełniający t. j. wyższy, niż początkowe lata uniwersyteckie, tak, żeby studjujący mogli, poczynając od pierwszego semestru, brać czynny udział w pracach o charakterze seminaryjnym. Wykłady i zajęcia seminaryjne odbywać się będą w godzinach popołudniowych.

Na Wyższe Kursy Pracy Społecznej mogą być przyjęci Polacy i Polki, posiadające dowody ukończenia conajmniej szkoły średniej oraz przygotowanie do czynnego udziału w pracach seminaryjnych, a nadto, o ile możliwości, dłuższe doświadczenie i praktykę w zakresie pracy społecznej.

Siedziba Wyższych Kursów Pracy Społecznej mieści się w lokalu „Szkół Pracownic Społecznych“ — Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie ul. Złota Nr. 14. Tymczasowy Sekretarjat Wyższych Kursów Pracy Społecznej urządza w lokalu Biura Pracy Społecznej (Warszawa, ul. Kopernika 30, tel. 117-12) godz. 10 — 5 pp.

VI KOBIECY KONGRES PACYFISTYCZNY W PRADZE

W dniach 23—29 sierpnia odbywa się w Pradze VI Kongres Międzynarodowej Ligi Kobiet Pokoju i Wolności. Hasłem jego jest „Wyrzeczenie się wojny i realizacja Paktu Kelloga“.

W kongresie biorą udział przedstawicielki 40 narodów świata. Głównym tematem obrad jest rozbrojenie. Mimo pokojowych zapewnień, wszystkie państwa nie ustają w zbrojeniach i poświęcają olbrzymie sumy na wzmacnianie armji i nowe okręty wojenne, oraz wynalazki śmiertelne w dziedzinie broni i gazów trujących. Kobiety pragną temu stanowi rzeczy przeciwstawić swą opinię we wszystkich krajach.

Z kolei kongres zajmie się zagadnieniem organizacji pokoju wewnątrz państw, w szczególności metodami pacyfikacji nieporozumień, wynikających z powodu społecznych, politycznych i rasowych różnic.

Wreszcie omówiony będzie temat przyszłości: jak wyglądać będzie świat bez wojny?

W kongresie bierze udział delegacja „Polskiej Ligi Pokoju i Wolności“, złożona z prezeski, dr. J. Budzińskiej-Tylickiej, p. J. Łypacewiczowej i p. Giżyckiej. j. k.

DLA DZIEŁA POKOJU

Gościem Polski była w sierpniu znana publicystka niemiecka i wybitna działaczka pacyfistyczna, dr. Elga Kern z Heidelbergu.

Z wykształcenia lekarka, p. dr. Kern była na ziemiach polskich w czasie wojny, przeżywając okropności ambulansu i szpitala wojennego.

Jej obecny pobyt w Polsce, z racji wycieczki dziennikarzy z Niemiec południowych, poświęcony był zapoznaniu się z warunkami działalności kobiet polskich i zbadaniu możliwości współpracy na polu pokojowego porozumienia ludów.

P. Elga Kern prowadzi ciekawe wydawnictwo p. t. „Führende Frauen Europas“ (Najwybitniejsze kobiety Europy), które jest zbiorem autobiografij czołowych działaczek na wszelkich polach twórczości i pracy. W drugim tomie tego wydawnictwa, który ukaże się wkrótce, ma być umieszczona autobiografia znakomitej polskiej powieściopisarki, Zofji Nałkowskiej. j. k.

DOM KOBIEC W BUKARESZCIE

Jeszcze roku nie istnieje „Dom kobiet“ w Bukareszcie (Casa Femeii), a już bardzo wiele, dzięki tej organizacji, przeprowadzono pożytecznych prac.

„Dom Kobiet“ stworzyła Rada Narodowa Kobiet Rumuńskich, zbudowała gmach kosztem 8 milionów lei i nadała organizację samodzielną, opartą na statucie, zalegalizowanym przez władze.

Prezeską „Domu Kobiet“ jest księżna Aleksandra Cantacuzene, wybitna działaczka społeczna.

„Casa Femeii“ pracuje sekcjami. Sekcja I-sza związana jest z salą wykładową. Odbywają się tam odczyty na tematy najróżniejsze. Jak podaje sprawozdanie, był np. cykl wykładów o reformie administracji, o rodzinie, o teorjach ewolucji społecznej — wygłaszane przez fachowców krajowych i zagranicznych.

Sala służy również na uroczystości wszelkiego rodzaju, może być wynajmowana, co daje spory dochód. W ciągu sezonu ubiegłego odbył się szereg koncertów — rumuni bardzo lubią muzykę — między innymi festival muzyki polskiej. Ceny miejsc są bardzo niskie: od 20 lei (1 zł.) do 40 lei (2 zł.). Raz w tygodniu urządza się seans kinowy dla młodzieży szkolnej. Sekcja biblioteczna prowadzi wypożyczalnię dla dorosłych i organizuje godziny czytania dla dzieci. Przy „Domu Kobiet“ istnieją dwie jadalnie: jedna dla osób zamożniejszych, inteligencji, urzędników, studenterji, druga dla robotników i ubogich, poleconych przez towarzystwa dobroczynności. Podział taki, który byłby u nas bardzo rażący, usprawiedliwiony jest stosunkami, panującymi w Rumunji. Obiad lepszy kosztuje 40 lei (2 zł.), obiad „demokratyczny“ — 7 lei (35 gr.).

Pomoc lekarska dla członkiń „Domu Kobiet“ prowadzona jest przez osobną sekcję i udziela porad bezpłatnych i takich. j. k.

KILKA GODZIN W KÓRNIKU

Nie wiem, jak się to stało, ale, chociaż na wycieczkę do Kórnik zapisało się w dniu Zjazdu Ziemiaków sporo osób, jednak w oznaczonej godzinie dnia następnego, w autobusie ukazało się nas zaledwie cztery — przyczem dwie panie — matka z córką — na Zjeździe nie były, lecz się ubocznie o projektowanej wycieczce dowiedziały.

Komunikacja zupełnie możliwa. Autobusy dochodzą dosyć często, i są wcale czyste. Po półgodzinnej jeździe dobrą szosą i kilkuminutowym postojem w miasteczku, wysiadamy przed pałacową bramą w Kórniku. Zwykły, zupełnie współczesny most drewniany, rzucony na kanał — dawną fosę — zastąpił most zwodzony. Wchodzimy do dużej, poważnej sieni pałacowej — ta polska nazwa naprasza się mimowoli zamiast francuskiego westibulu. Sienią w żadnym razie części mieszkalnej apartamentu, stanowiącego hall, nie przypomina.

Na dole — tylko dwa salony, umeblowane raczej skromnie. Każdy mebel — to pamiątka. W pierwszym rozłożone kilimy — prace uczennic zakładu — i widoczki parku — akwarele, roboty hrabianki Zamoyskiej, obecnej właścicielki Kórnik. Z okien patrzymy na oryginalne widoki tego parku, głęboką, nastrojową aleję i wodę, tak każdy pejzaż ożywiająca. W drugim salonie — salonie skazańców, czyli inaczej: bohaterów narodowych — szeregi portretów rodzinnych. Każdy z patrzących na nas z tych ram, nie tylko dobrze zasłużył się Ojczyźnie, lecz i cierpiał wygnanie, więzienie lub poległ, zmagając o Jej niepodległość. Są to przeważnie portrety rodziny Działyńskich, których gniazdem rodzinnym był Kórnik. Gdy na grobie ostatniego z rodu, tarczę herbową — obyczajem dawnym — strzaskano, Kórnik przeszedł, jako wiano generałowej z Działyńskich Zamoyskiej, do tej ostatniej rodziny.

Nie tu miejsce pisać o zasługach tej wielkiej polki, pierwszej, która wychowanie kobiet polskich na praktyczne skierowała tory. Zakład kórnicki, przeniesiony wskutek prześladowań pruskich do Kuźnic pod Zakopanem, dał Polsce nieomal tyle dzielnych obywaterek, ile liczył wychowanek.

Trzecia ogromna komnata, którą oglądamy, to właśnie pokój generałowej Zamoyskiej. Biurko, przy którym pracowała, łóżko, na którym skołała, stół, na którym, zawsze w tym samym porządku ułożone, leżą jej prace, pisane po polsku, lecz tłumaczone na większość języków europejskich. Prace te mówią o zadaniach wychowawczych i o miłości dla Ojczyzny — bogate tematy, prosto i dostęпно traktowane, sercem więcej, niż piórem pisane.

Z prywatnych apartamentów przechodzimy na pierwsze piętro, do muzeum. Całą wartość tych bogatych i pięknych zbiorów ocenić może tylko polak z Kresów Wschodnich, gdzie wszelkie pamiątki

i zbiory rodzinne znikły zupełnie, zmiecione zawieruchą wojny i rewolucji. Oglądamy kolekcje zbroi i szyszaków, broni z ubiegłych wieków, całkowitą zbroję usarską, przy której nawet część piór orlich ocalała. Śliczne kolczugi i tarcze, złotem i srebrem nabijane. W kości słoniowej artystycznie rzeźbione berło Michała Wiśniowieckiego; szablę Jana Sobieskiego ze wspaniałą, drogiemi kamieniami wysadzaną rękojeścią i takąż jaszczurową pochwą; szablę, której używał w czasie wyprawy wiedeńskiej. Ołtarz połowy tegoż króla, z hebanu i srebra tłoczony (repoussé), służył niedawno, bo przed dziesięciu laty, do pierwszej mszy połowej, odprawionej na placu Wolności w Poznaniu po wygnaniu żeń Niemców. Bogate siodło i rzędy na konie, kolekcja porcelany dawnych fabryk polskich, cała duża witryna, pełna urn z popiołami i łzawnic pogańskich (wykopaliska wielkopolskie) i tyle, tyle innych pamiątek, których w krótkiej wzmiance wyliczyć nie sposób.

Z biblioteki, liczącej podobno około 90.000 tomów, a której katalogowaniem zajętych jest obecnie trzech bibliotekarzy, oglądamy tylko salę rękopisów. Rękopisy Mickiewicza i Słowackiego, całe foljały rękopisów Hoene-Wrońskiego; duży zeszyt własnoręcznie pisanych rozkazów wojskowych Napoleona I-go z czasów, gdy był dopiero generałem Bonaparte.

Schodzimy znów na dół. Uprzejma, niestrudzona gospodyni długo nam jeszcze opowiada o dziejach dawnych właścicieli Kórnik, o swojej wielkiej, zasłużonej Matce, o swoim i braci dzieciństwie. Słuchamy, nie czujemy, jak czas płynie i chwila powrotu się zbliża.

A trzeba jeszcze obejrzeć zakład wychowawczy. W oddzielnym budynku, wychodzącym na ogród, pokazują nam jasne, idealnie czysto utrzymane sypialnie, klasy i ubikacje gospodarcze: kuchnie, pralnie, piekarnie. Jest lato, więc ruch mały. Dla kawiarni na Wystawie Powszechnej w Poznaniu wypieka się ciasta i gotuje obiady dla licznych wycieczek, zwiedzających Kórnik. Zakład wychowawczy dla panien z inteligencji pozostał w Kuźnicach; tu się wychowuje na gospodynie tak zwane „cepculki”; przeważnie córki gospodarzy małorolnych.

Oglądamy śliczne makaty i kilimy, wyrabiane w zakładzie; próbujemy wyśmienitych pierników kórnickich, zaznajamiamy się z wydawnictwami zakładu i żegnamy hrabiankę Zamoyską, która wszędzie prawie nam towarzyszyła, żywym słowem dopełniając to, cośmy oglądały.

Jeden autobus już odszedł, drugi przyjdzie dopiero za godzin parę. W czystej kawiarence (gdzie się znajdzie taką w innych małych miasteczkach?!) podają nam podwieczorek, po którym zaczynamy szukać jakiegoś środka lokomocji — gdyż najmłodsza nasza towarzysza nie chce opuścić partji polo,

którego dotąd nigdzie nie oglądała. Prywatne auto, wracające z dalszej wycieczki, zabiera nas uprzemie. Całą drogę, zresztą bardzo prędko odbytą, dzielimy się wrażeniami. Oto i Poznań.

Pani Elżbieta



101
61

O NAJWAŻNIEJSZYCH BRAKACH POKARMOWYCH W NASZYM OBECNYM POŻYWIENIU

Przeciętne pożywienie narodów cywilizowanych opiera się na pewnej liczbie produktów przyrody i przemysłu, które dostarczają organizmowi wszystkie nieodzowne substancje pokarmowe w dostatecznej ilości. Że ten przekazywany oddawna dobór pomimo różnic, spowodowanych przez klimat i tryb życia, odpowiadał w ogólności istocie rzeczy — to służy dowodem, że uczucie smaku, sytości i poczucie własnej sprawności mogą prowadzić do mniej więcej prawidłowej oceny danego sposobu odżywiania się. Jednakże w ciągu ostatnich dziesięciu lat zmieniły się znacznie i pogłębiły poglądy nasze na własność naturalnych środków żywności. A stało się to zaś dzięki temu, że zdołano ogromnie udoskonalić doświadczenia na zwierzętach, przytem obserwowanie skutków tego czy innego pożywienia nie ograniczono do jednego pokolenia, lecz rozciągano je na szereg następujących po sobie pokoleń. Badania te, przeprowadzone na wielką skalę głównie w Ameryce, doprowadziły do nader ciekawych wyników. Wiadomo już powszechnie, jak wielkie znaczenie zaczęło odgrywać, zarówno w systemie żywienia, jak nawet i w lecznictwie, stwierdzenie istnienia t. zw. dopełniających czynników pokarmowych, czyli witamin. W dalszym ciągu dowiedzieliśmy się, że obecny sposób naszego odżywiania się bynajmniej nie jest idealny, jeżeli spojrzeć nań pod szerokim kątem widzenia.

Otóż pożywienie współczesnych narodów kulturalnych składa się w przeważającej części z białego pieczywa, mięsa, cukru i kartofli z małą, lecz niedostatecznymi dodatkami innych potraw. Dziś zajmujemy się rozpatrzeniem zagadnienia, jak dalece dwa zasadnicze nasze środki spożywcze — mąka pszenna i potrawy mięsne odpowiadają warunkom istotnie pełnowartościowego pokarmu. Mąka pszenna w tej postaci, w jakiej jest teraz ogólnie używana, została wprowadzona na rynek światowy dopiero po roku 1879. Wtedy to zostały wynalezione młyny wal-

cowe, co pociągnęło za sobą gruntowną zmianę sposobu mielenia ziarna. Ziarno nie zostaje zmielone, lecz rozkruszone między walcami; kielek, klej roślinny i grubsze części mąki mogą być mechanicznie oddzielone — część ziarna, która może być tak subtelnie zmiądzona między walcami, że przechodzi przez siatkę, dostaje się do handlu, jako najbardziej pożądana mąka. Podczas gdy ziarno mielone w kamieniach młyńskich nie nadawało się do długiego przechowywania, mąka przesiewana odznacza się trwałością i jako taka może być dostarczana miejscowościom, leżącym w różnych strefach klimatycznych.

Ale, posiadając dobre warunki dla transportu i handlu, mąka pszenna w tej postaci nie posiada już wartości pożywnych, właściwych pełnej pszenicy, której również wiele brakuje do ideału, jak dowiodły tego porównawcze doświadczenia na zwierzętach. Mąka pszenna składa się głównie z krochmalu, białka późniejszego gatunku i soli nieorganicznych, wśród których brakuje przede wszystkim wapna, sodu, chloru, żelaza i fosforu. Mąka pszenna nie zawiera żadnych witamin.

Zalety mąki, jako środka żywności, polegają w istocie na szczególnie lepkich własnościach jej ciał białkowych, które umożliwiają przetwarzanie jej w ciasto. Wyższość jednakże mąki mielonej z całkowitej pszenicy w stosunku do mąki przesiewanej nie ulega wątpliwości, jeżeli idzie o całość zawartych w niej składników pokarmowych. Należy podkreślić, że zarówno ziarna pszenicy, jak i wszelkich innych zbóż i roślin pokarmowych, podlegają wahaniom pod względem swego składu i wartości w zależności od rodzaju gleby i klimatu.

I na to zagadnienie zwróciła nauka w ostatnich czasach szczególną uwagę. Okazało się bowiem, że koncentracja pierwiastków w świecie zewnętrznym nie jest rzeczą stałą, że tu, czy tam, gleba i woda mogą nie zawierać dostatecznej ilości nieodzownych dla życia zwierząt i ludzi substancyj. Jako przykład, mogą przytoczyć tu brak jodu, zaznaczający się tu i owdzie w Europie, który to brak wywołuje u ludzi pewne objawy chorobowe. W pewnych okolicach Ameryki Północnej, w dolinie rzeki Yellowstone przez pewien czas ginęło corocznie około miliona młodych zwierząt hodowlanych wskutek braku jodu i wywołanej przez to choroby gruczołu tarczowego. W Niemczech brak jodu, stwierdzony po wojnie w pokarmach, pochodzi, jak się okazało z tego, że, zamiast używanych dawniej nawozów naturalnych w postaci saletry chilijskiej, zaczęto używać nawozów azotowych, zupełnie pozbawionych jodu. Z gleby jod dostawał się do roślin lub też do zwierząt i produktów zwierzęcych, jak mleko i jajka. Również i woda otrzymywała z tego źródła pewne ilości jodu. W ten sposób jod dostawał się do pokarmu ludzkiego.

Równie ważnym składnikiem mineralnym gleby i wody jest wapń. I ten pierwiastek odgrywa ogromną rolę w różnych sprawach fizjologicznych i chorobowych naszego ustroju. Stwierdzono na przykład, że wśród robotników, zatrudnionych w kopalniach wapna, rzadko występuje gruźlica; tak samo rzecz się ma w okolicach, posiadających twardą wodę do picia.

Drugim z kolei ważnym składnikiem pokarmowym narodów współczesnych jest mięso. Wiadomo, że zwierzęta mięsożerne żywią się wyłącznie tkankami innych zwierząt i odznaczają się przytem znakomitym stanem wszystkich swych cech fizycznych. Tymczasem na podstawie licznych spostrzeżeń należy dojść do wniosku, że dietetyczne własności mięsa, pochodzącego z mięśni, które stanowią najbardziej rozpowszechniony pokarm mięsny ludzi, podobne są do takichże własności ziarn zbożowych, to znaczy, wykazują liczne braki pokarmowe.

Brak zatem zwykłego mięsu dostatecznych ilości składników mineralnych, jak wapń, sól, chlor i trzech najważniejszych witamin. Otóż przyczyna tego polega na różnicy, jaka zachodzi pomiędzy mięsem, pochodzącym z mięśni, a mięsem z tkanki gruczołowej, jak np. wątroba i nerki. Tu leży tajemnica dobrego stanu fizycznego zwierząt mięsożernych, które, jak tego dowodzą obserwacje, pożerają przede wszystkim organy gruczołowe swej zdobyczy. Młodych lwiat nie udawało się pomyślnie hodować w niewoli, dopóki zamiast mięsa z mięśni nie zaczęto im podawać wątroby, tłuszczu i kości lub całkowitych drobnych zwierząt. To samo odnosi się również do wielu narodów pierwotnych. Tak np. bardzo ciekawym narodem z punktu widzenia pożywienia są eskimowie. Pokarm ich zawiera niezwykle mało wapnia i nadmiernie wiele fosforu; stosunek taki tych dwóch czynników wywołałby w strefie umiarkowanej w zwykłych warunkach dietetycznych objawy patologiczne układu kostnego. Wśród eskimów jednakże nie spotyka się ani szkorbutu, ani krzywicy, a stan ich zębów przewyższa wszystkie inne żyjące dziś na ziemi grupy ludzkie. Eskimowie nie używają prawie zupełnie roślinnego pożywienia; oprócz mięsa spożywają wiele jaj ptaków morskich, a szczególnym ich przysmakiem jest wątroba wszelkich zwierząt, oraz gruba skóra wieloryba. Podczas więc, gdy mięso, pochodzące z mięśni odznacza się wyraźnym niedoborem pokarmowym, wątroba, jak tego dowodzą badania dokonane w czasach ostatnich, obfituje w najwyższym stopniu w cenne czynniki dopełniające, dzięki którym stała się nawet obecnie swoistym prawie w niektórych cierpieniach środkiem leczniczym.

Ogólny wynik wspomnianych badań doświadczalnych na zwierzętach dowodzi, że dobór pokarmowy jest dla zwierząt czynnikiem pierwszorzędowego znaczenia, jeżeli idzie o ich wzrost, płodność i dłu-

gość życia. A szczególną trudność w doborze tym stanowi zapewnienie dostatecznej ilości wapnia i witamin. Te same czynniki z dodaniem jeszcze należącego rodzaju spożywanego białka, stanowią o wartości pokarmu ludzkiego, bez względu na rasę i warunki klimatyczne.

Uczony finlandzki, prof. Wendt twierdzi, że ziemia jest jednym wielkim grobowcem wymarłych gatunków, a to wymieranie było w większości wypadków skutkiem zmienionych warunków żywnościo- wych, działających zwolna, ale stale w tym kierunku. Zdaniem prof. Wendta zdolność przystosowywania się świata zwierzęcego jest zbyt ograniczoną i powolną, aby móc podążać za przeobrażeniami, zachodzącymi w świecie roślinnym pod wpływem zmian klimatycznych oraz za wywoływaniem przez to warunkami żywienia. Człowiek ma za sobą bardzo długą historję na ziemi, wynoszącą w każdym razie powyżej 100.000 pokoleń, a tymczasem nowoczesny system żywienia się narodów cywilizowanych trwa zaledwie nieskończenie małą część tego okresu. Nic więc dziwnego, twierdzi Wendt, że przewód pokarmowy człowieka zachował dotąd swój pierwotny charakter, przystosowany do pożywienia roślinnego.

Pod wpływem postępów technicznych w rolnictwie i młynarstwie zmienił się w ostatnich dziesiątkach lat sposób żywienia się ludzi cywilizowanych. Te zmiany, jakie w ciągu tak krótkiego względnie czasu zostały dokonane w zwyczajach dietetycznych europejczyków i amerykańców, stanowią jedyny w swoim rodzaju eksperyment w zakresie odżywiania się ludzi.

Doświadczenie, osiągnięte w ciągu dwóch pokoleń z takim rodzajem żywienia, zdołało już wykazać, że żywienie to pociąga za sobą szereg objawów ujemnych, do których badacze amerykańscy zaliczają przede wszystkim wadliwy rozwój kości, choroby zębów i zły stan odżywiania dzieci.

Dwa te charakterystyczne objawy naszego obecnego żywienia się, to jest niezmiernie szybki stosunkowo wzrost konsumpcji zboża i mięsa, są, jak twierdzi jeden z propagatorów reformy pokarmowej, Ragnarberg, z natury swojej sprzeczne z potrzebami naszego ustroju. Wielu ze zwolenników reformy żywienia, zarówno w Europie jak i w Ameryce, wskazuje na kolosalny wzrost w ostatnich czasach takich chorób ustrojowych, jak zwapnienie naczyń, rak żołądka i choroby nerek i stawia objaw ten w bezpośrednią zależność od współczesnego sposobu żywienia.

W ciągu ostatniego roku powstała w Europie „Międzynarodowa organizacja dla badań nad odżywianiem się ludów“. W odezwie, która wyluszcza cele i zadania tej nowopowstałej organizacji, wskazuje się przede wszystkim na te zasadnicze zagadnienia,

pytania i sprzeczności, jakie istnieją dotychczas w naszych wiadomościach o żywieniu się człowieka. „Wyrafinowanie kultury, postępy cywilizacji, techniki i komunikacji — głosi odezwa — pociągnęły za sobą daleko większe przemiany w zwyczajach dietetycznych narodów i ludzi, aniżeli wyniki czysto naukowych badań. Dzieje cywilizacji ludzkiej są jak najściślej związane ze zwyczajami panującymi w dziedzinie żywienia i postępy naszego dzisiejszego rozwoju kulturalnego, materialnego i technicznego powinny być należycie kontrolowane, aby nie zbaczały z prawidłowej drogi. Zdrowiu ludzkiemu zagrażają często w sposób dotkliwy skutki niedostatecznego i nieracjonalnego pożywienia. Niebezpieczeństwa te powinny być w czas usunięte, a tam, gdzie zdołały już wyrzucić swój, wpływ szkodliwy, powinny być zastosowane odpowiednie środki, bądź na drodze oświaty, bądź prawodawstwa”.

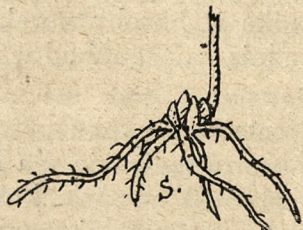
Dr. Stefan Kramsztyk.

SZPARAGI

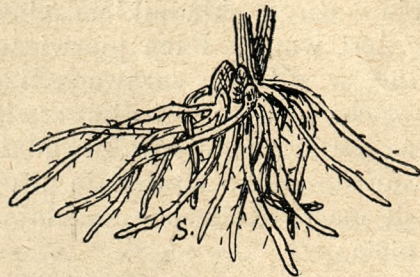
Zbiór szparagów już się skończył. Na miejscu, gdzie do niedawna bieleły się kopce ziemi, dziś wiatr porusza gęstwą ciemno zielonych łętów, strojnych w drobne, igiełkowe listeczki, niby subtelne pióropusze, nadające się doskonale jako zieleń do wazonów, przybieranych kwiatami.

Te piękne pióropusze strzec jednak winien każdy posiadacz szparagarni przed wszelkimi uszkodzeniami, zarówno przez pasorzyty zwierzęce, jak przez choroby roślin i przez wiatr. Te pióropusze, to zadatek przyszłych plonów, a ich pomysłny, bujny rozwój decyduje o płodności plantacji w następnym roku. To też na plantacjach młodych, gdzie łęty wzajemnie jeszcze się dostatecznie nie wspierają, należy je przywiązywać do palików, żeby wiatr ich nie łamał. Ale palików nie wolno wbijać w ziemię pionowo obok ukazujących się pędów, jak to przywykliśmy czynić przy innych roślinach. Bo karpa szparagowa rozkłada się w ziemi szeroką, płaską rozetą, więc uległaby skaleczeniu, a korzeń szparaga, złamany lub przecięty, nie rozkrzewi się, jak u drzew, lecz zacznie gnić i zamrze.

Pomimo to szparagi należą do roślin bardzo trwałych, i mogą darzyć plonem od 15 do 20 lat, jeśli



Siemka słaba.



Siemka dobra do sadzenia.

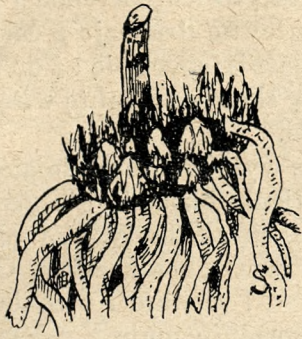
są dobrze założone i umiejętnie pielęgnowane. Dłużej trzymać plantacji nie warto, bo łodygi drobnieją, karpki wychodzą ze swoich miejsc i plantacja staje się bezładną. Wtedy, a raczej już nawet parę lat wcześniej, trzeba pomyśleć o założeniu nowej, żeby zbiór nie uległ przerwie. A prace przygotowawcze do racjonalnego, wzorowego założenia plantacji, trwają długo.

Więc najpierw sprawa nasienia. Płodność karpki i skłonność do wydawania grubych „fajek” u szparagów jest cechą dziedziczną, więc dobrze uczyni, kto sam zbierze nasiona z dobrych karp własnej plantacji. Można karpki wyznaczyć sobie jeszcze teraz, oceniając na zasadzie łętów, a potem zebrać z nich nasiona, ale jeszcze lepiej oznaczyć najpłodniejsze i najsilniejsze teraz palikami, a w przyszłym roku nie wycinać z nich fajek, tylko od razu puścić w nać, aby wcześniej i jak najdorodniejsze uzyskać nasienie. Zebrać go trzeba dwa lub trzy razy więcej, niż zużyjemy, bo po wydobyciu ziarn należy je starannie przebrać i tylko najlepsze, pełne i ciężkie przechować do wiosny w celu wysiania. A potem otrzymane rośliny jeszcze raz lub nawet dwa razy sortujemy.

W jesieni należy wyszykować rozsadnik pod szparagi. Wybrany zagon powinien być obficie wynawożony przetrawionym nawozem i leżeć w miejscu słonecznym, ciepłym. Przez zimę dobrze jest pozostawić go w ostrej skibie.

Siać można szparagi albo wprost na opisany rozsadnik, w rowki płytkie, w 4 rzędy na zagonie, a w rowkach ziarnko od ziarnka conajmniej co centymetr, — albo w inspekcje letnim, czy nawet zimnym, gdzie jednak wcześniej powschodzą, niż na gruncie. Na dwa tygodnie przed siewem można nasiona zmieszać z wilgotnym piaskiem i umieścić w ciepłym miejscu, żeby napęczniały (zastratyfikować), albo na dzień przed siewem zalać letnią wodą i pozostawić w niej przez 4 do 6 godzin, poczem rozpostrzeć na płótnie.

Siew w inspekcje można wykonać dość gęsto, bo stamtąd wypadnie roślinki wkrótce wybrać. Zanim powschodzą, ziemia na rozsadniku obeschnie i nagrzeje się na przyjęcie młodej rozsady. Tu znaczy się rzędy co 25 cm. (4 linje na zagonie), i sadi się roślinki co 20 do 25 cm od siebie. Powinny one wtedy mieć dopiero 1 krótki pęd zielony i parę małych korzon-



Główka karpki trzyletniej.

ków, których ani kaleczyć przy wyjmowaniu rozsady z inspektu, ani przycinać przy sadzeniu nie należy! Podczas przesadzania znowu rozsada podlega starannej selekcji, przy której wszystkie słabe okazy należy odrzucać.

Jeżeli nasiona zostały wysiane wprost na zagon, to w początku maja (w normalnych warunkach atmosferycznych) należy rozsadę przerwać tak, żeby pozostawić pojedyncze roślinki co 15 do 20 cm. Przerwanie powinno być wykonane, póki każda młoda karpka posiada tylko jeden pęd zielony, bo gdy wypuści ich więcej, to trudno już rozpoznać, czy mamy do czynienia z jedną rośliną, czy z całą kępką. Jest to jednak związane z wielką rozrzutnością nasienia.

W ciągu lata pielęgnowanie rozsady polega na oczyszczaniu ziemi z chwastów, spulchnianiu powierzchni i częstym zasilaniu. Szparagi należą do roślin tak żarłocznych, że są zdolne pochłonąć wszystko, co się im dostarczy. Od nadmiaru nie chorują, a szkodzi im tylko brak pożywienia. Więc polewanie zagonów rozcieńczoną gnojówką, roztworem nawozów kłoczących, rozrobionym krowieńcem, albo roztworem esencji, którą należy przygotowywać sobie jako zasilek w każdym ogrodzie, — jest bardzo pożądane i może się odbywać choć raz na tydzień.

Tę samą żarłoczność wykazują szparagi i w późniejszym okresie rozwoju, choć pochodzą z piasków nadmorskich, gdzie w naturze nie znajdują zasobów obfitych. Ale na plantacji muszą wydawać odrygi obfite, grube, muszą tracić wiele sił na tworzenie ciągle nowych pędów, które im przez kilka tygodni człowiek zabiera. Potem przez okres względnie krótki nabierają karpki sił do następnej kampanji.

Uwzględniając te okoliczności, trzeba zawczasu przygotować miejsce pod przyszłą szparagarnię. Wybierać je należy w ziemi piaszczystej, przepuszczalnej, w miejscu słonecznym, nie zacienionym drzewami, a jeśli można — to z nieznaczną pochyłością ku południowi. Silniejsze nagrzewanie wiosną powierzchni ziemi przez promienie słoneczne przyspiesza początek zbioru.

Więc gdy przystępujemy do szykowania rozsady — równocześnie pomyślmy o miejscu pod plantację. Obszar jej zależeć powinien głównie od rozporzą-

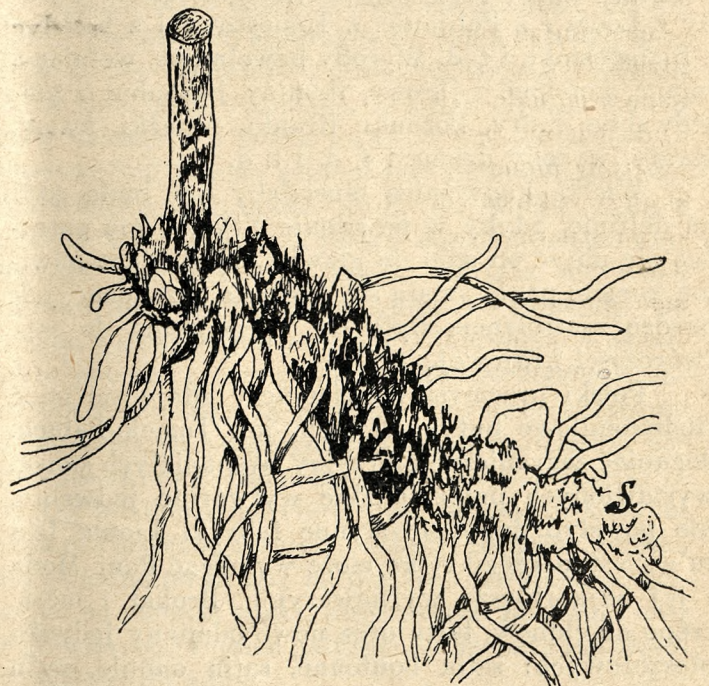
dzalnych zasobów nawozu, który corocznie na zasilanie plantacji poświęcić należy, a ponieważ zasilanie musi być obfite, jeśli fajki mają być grube, więc nad przestrzenią szparagarni należy poważnie się zastanowić. Lepiej założyć mniejszą, a zbierać z niej dorodne wypustki, niż z rozległej wycinać ołówki, zapalki i nitki. Na potrzeby rodziny, złożonej z 3 do 4 osób, wystarcza jeden zagon, długości około 10 metrów.

Robienie głębokich regulówek pod szparagi jest przeżytkiem, sprzecznym ze sposobem rozwoju karpki szparagowej. Korzenie bowiem nie zagłębiają się w ziemię, jak u innych roślin, lecz rozkładają się płasko, w postaci promieni, sama zaś karpka co rok podnosi się wyżej, więc nie korzystałaby wcale z tych zasobów pokarmowych, które przy regulówce uległyby zagrzebaniu głębokiemu.

Zatem już rok wcześniej w jesieni zaleca się nawieźć teren obficie, przeorać przed mrozami głęboko i pozostawić w ostrej skibie. Wiosną można uprawiać warzywa okopowe lub strączkowe, utrzymując ziemię czysto. W jesieni znowu obficie nawieźć, przeorać i pozostawić w ostrej skibie, aby wiosną już przystąpić do zakładania szparagarni.

Sprawą pierwszorzędnej wagi jest posiadanie rozsady jak najmłodszej, t. j. jednorocznej. Aczkolwiek na zbiór z niej trzeba czekać trzy lata, to jednak obfitość plonu tak znacznie przewyższa zbiory z plantacyj, założonych z rozsady dwuletniej lub starszej, że tylko jednoroczna powinna być stosowana.

Gdy więc tylko na wiosnę ziemia rozmarznie i obeschnie, należy wyznaczyć rzędy w odstępach co 1 metr, i wzdłuż przeciągniętego sznura, również co metr, wtykać paliki, które mają oznaczać miejsca pod karpki. Dobrze jest poprzednio ziemię zorać i zabro-



Karpa stara, rośnie ku górze i w bok.

nować, czy zgrabić, żeby powierzchnia była równa. Teraz koło każdego palika należy wybrać dołek średnicy 40 do 50 cm., a głęboki na 20 do 25 cm., i z dowieszonego żyznego kompostu usypać około palika niski kopczyk, resztę zaś kompostu pozostawić koło dolka w zapasie do sadzenia.

(dok. nast.)

Stan. Schönfeld.



WŁÓKIENICTWO I TKANINY ARTYSTYCZNE NA P.W.K.

Na prawo od głównego wejścia na P. W. K. rozpościera się błękitna tafla sporej sądzawki. Z chłodnej toni wynurza się biała pani, siedząca na delfinie. W upalne dni przyglądają się jej tłumy zwiedzających wystawę z mimowolną zazdrością: — co za rozkosz tak nie mieć na sobie i móc w każdej chwili skorzystać z orzeźwiającej kąpieli! Zresztą, nikomu nie przeszkadza, podobnie jak za stygłe w ekstazie, nagie posągi przed Pałacem Rządowym. Tylko śliczna postać dziewczyny, wychodzącej z kąpieli (dłuta Olgi Niewskiej), stała się z niepojętych powodów tematem mnogich sporów i źródłem wielu zgorszeń. Nie wiem, jakie komentarze wywołuje biała pani na delfinie, w każdym razie nikt nie posądzi jej o to, aby nie miała się w co ubrać. Pawilon XIV, służący jej za tło, to właśnie pawilon włókienniczy. Zawiera on pokaz wytwórczości jednej z najpoważniejszych dziedzin przemysłu polskiego — włókiennictwa. Zgromadzono tu wyroby z Łodzi i z Pabjanic, z Tomaszowa i z Bielska, z Białegostoku i t. d. Wyroby bawełniane, wełniane, lniane, konopne i jutowe, tkaniny jedwabne i półjedwabne, hafty, koronki, firanki, wstążki, taśmy, ceraty, wyroby dziane i t. d. i t. d.

Wielką kapryśnicą musiałaby być biała pani na delfinie, gdyby w pawilonie XIV-ym nie potrafiła się ubrać od stóp do głowy. Zwiedzające pawilon, piękne panie muszą się wreszcie przekonać, jak bardzo niesłusznym było ich uprzedzenie do wytwórczości krajowej.

Polski przemysł włókienniczy zdaje się mieć siedmiomilowe buty i w nich, jak Tomcio-Paluch, doganiać zagraniczne olbrzymy. Wspaniałych stoisk, wystawionych przez łódzkie wytwórnie jedwabiu, nie powstydzilyby się słynne fabryki Lionu. Jest tu wszystko, czego tylko może wymagać Pani Moda i jej najgorliwsze wyznawczynie. Brokat i mora, crêpe de chine'y, tafty oraz nowe odmiany jedwabi płaszczowych: satin boutoné, satin ondulé, satin Astrabad... Szczególnie cieszy oko witryna jedwabi,

dobranych we wszystkich odcieniach błękitu, zmieszanych w kunsztowne draperje z całą gamą tonów brunatnych, rozjaśniających się aż do barwy migdała. Artysta, który skomponował tę witrynę, musi być kolorystą nielada.

W stoisku z wyrobami bawełnianymi spotykam ku swemu zdziwieniu aksamity, te prześliczne, mięciuchne, mieniące się aksamity, które dotąd uchodziły za wyłączny wytwór zagranicy. Otóż są wyrabiane w Polsce — i gładkie i deseniowe. Przedstawiciel firmy informuje mnie z żalem, iż aksamity te nie cieszą się wielkim popytem, bo są bardzo kosztowne. — A ileż wypada metr tej tkaniny w detalu? — No, zawsze jakieś czterdzieści złotych. — Wobec tego, że zagraniczne velours-rêve, frizéli i caméléon kosztują od osiemdziesięciu wzwyż, sędzę, że te panie, coby się zdecydowały na aksamit krajowy, zrobiłyby nietylko dobry uczynek, lecz i interes. Łódź dostarcza również ślicznych composées na jumpery.

Imponuje rozmiarami stoisk przemysł bawełniany. W szczelnie oszklonych stoiskach pracują przedsiębiornie bawełny i wełny. W jednym z sąsiednich pawilonów Tomaszowska Fabryka Sztucznego Jedwabiu demonstruje przerób celulozy na przędzę jedwabną. Szereg firm wystawia tkaniny ze sztucznego jedwabiu, coraz czystsze w barwie i pomysłowsze w deseni.

Wśród tylu odkryć radosnych nie mogę się oprzeć melancholji: oto bardzo, bardzo rzadko wśród nazwisk wystawców zdarza mi się trafić na nazwisko o polskim brzmieniu! Szukam z utęsknieniem stoiska Stacji Centralnej Polskiego Jedwabiu w Milanówku — tej oazy bezinteresownego wysiłku i ofiarnego umiłowania pracy. Nie znalazłam stu-procentowego polskiego jedwabiu w pawilonie włókienniczym.

Pocieszyłam się dopiero, kiedy znacznie później, dotarwszy do terenu E., ujrzałam oddzielny pawilon Centralnej Stacji w Milanówku, z doskonale przedstawionym całokształtem prac na polu jedwabnictwa krajowego. Liczne tłumy przyglądały się z zaciekawieniem białym liszkom, żerującym ze spokojną żarłocznością na liściach morwy, rozplątywaniu oprzędów, maszynom, przędącym nić jedwabną, oraz krosnom do tkania jedwabnych samodzielaków. Jeszcze bardziej ucieszyłam się, spotykając na placu przy Min. Komunikacji wagon jedwabniczy, będący ruchomą szkołą jedwabnictwa na użytek kolejarzy, sadzących morwę. Polski jedwab, ta młoda, a tak wiele obiecująca gałąź naszego przemysłu, wbrew zgryźliwym przepowiedniom pesymistów, których nie brak, niestety, nawet wśród t. zw. „czynników miarodajnych“, rozwija się, wzmacnia, coraz nowe zdobywa tereny i pewnym głosem daje znać o sobie.

Pozwoliłam sobie na przydługą dywersję i na hazardowny skok z terenów wschodnich na zachod-

dnie. Jest to wina polskiego jedwabiu, działającego na mnie przyciągająco, jak magnes. I cóż w tem zresztą dziwnego, że wolę się szeroko rozwozić nad wspaniałą przyszłością naszego przemysłu jedwabniczego, niż stwierdzać doskonałość łódzkiej bawełny, znanej zaszczytnie już przed wojną na całym rynku wschodnim, lub też powtarzać, po raz nie wiadomo który, że wełny bielskie zaczynają naprawdę stanowić konkurencję dla analogicznych wyrobów angielskich. Nie da się to, niestety, narazie powiedzieć o krajowej produkcji pseudowschodnich dywanów, nie mogących w żadnej mierze konkurować z przepyszniemi wschodniemi kobiercami.

Możemy się za to szczycić wspaniałością naszych makat buczackich, które można śmiało bez zbytej zarozumiałości zaliczyć do najpiękniejszych tkanin świata. Szkoda, że tuż obok mieści się stoisko kilimów tego samego przedstawicielstwa — kilimów, które sprawiedliwość każe znowuż zaliczyć do największych szpetot Wystawy. Pięknych kilimów nie znajdziesz w pawilonie włókiennictwa. Na szczęście, jest ich tyle i tak bardzo pięknych w Pawilonie Pracy Kobiet, u Ziemianek, no, i „last not least” — w Pałacu Sztuki.

Ach, byłabym zapomniała o przepysznych tkaninach artystycznych Polskiej Sztuki Dekoracyjnej. Coprawda, byłabym do tego niemal uprawniona, bo szukałam tej Sztuki Dekoracyjnej po wszystkich terenach Wystawy, a mimo to o mały, mały włos, byłabym ją przeoczyła. Bo oto natrafiam wreszcie na pawilon LVII z napisem: „Zdobnictwo”; wchodzę, a tam — pożał się Boże! sztuczne kwiaty, wyroby z muszli, gipsowe figurki i tym podobne obrzydliwości.

Wychodzę zła i rozczarowana, a tuż, tuż obok, w pawilonie LV, pod szyfrą „Wyroby Jubilerskie”, zakonspirowała się „Polska Sztuka Dekoracyjna”. Sama p. Natalja Bobrówna robi honory domu, oprowadza i tłumaczy niestrudzenie. Są tam prawdziwe klejnoty przemysłu artystycznego; szczęśliwy, kto zgadnie, że to właśnie tu.

Widzę, że znowu odskoczyłam daleko od pawilonu włókienniczego, a chciałabym odejść spokojnie i z godnością. Opuszczę go z uśmiechem, bo oto w przejściu do pawilonu XV-go, gdzie mieści się przemysł konfekcyjny i skórzaný, odrazu na wstępie rozwesela mnie stoisko ślicznych parasolek firmy „Kokot”, a tuż obok obuwie: „Kokotek”. Proszę się tylko nie gorszyć: w gwarze pomorskiej to tylko kogut i kurczak — nic ponadto. *Jadwiga Kierwnarska.*



VOL-AU-VENT Z JARZYNAMI

Czterdzieści deka mąki, przesianej przez sito, usypać w kopczyk na stolnicy, zrobić dołek, wlać łyżkę spirytusu, wbić całe białko i pół żółtka (drugą połowę przechować w łupince do posmarowania), na koniec noża soli i tyle wody, aby się dało ugnieść ciasto niezbyt twarde, lecz dające się wałkować. Trzydzieści deka masła tłustego spłaszczyć i uformować w prawidłowy czworokąt, ułożyć na rozwałkowanym na grubość palca cieście. Złożyć ciasto, jak kopertę, wałkować, pociągając wałkiem w jednym kierunku; uważając, aby masło ze środka nie wylazło. Gdy będzie grubości palca, złożyć ciasto we czworo i położyć na lód. Znow wałkować, zachowując wszystkie uprzednie środki ostrożności i znow złożone we czworo położyć na lodzie. Powtarzać to trzy do czterech razy. Naostatek rozwałkować ciasto na pół palca i wyciąć z niego dwa równe kręgi. Z jednego z nich wyciąć mniejszy już krążek, a pozostałe kółko ułożyć na całym kręgu. Ułożyć oddzielnie większy i mniejszy krążek na blasze, posmarować cały mniejszy i kółko większego pozostałem żółtkiem, przyczem uważać, aby jajko nie spłynęło na boki ciasta, coby przeszkodziło rośnięciu. Wstawić w bardzo gorący piec. Po upieczeniu przestudzić, napełnić środek potrawką z jarzyn, przykryć oddzielnie upieczonym wierzchem, wstawić ponownie w piec najwyżej na pięć minut i natychmiast podawać, aby ciasto nie odmiękło.

Ładny, biały kalafjor, dwadzieścia deka młodej fasolki zielonej lub szparagowej, tyleż karotki, ugotować każde oddzielnie w osolonym wrzątku, podzielić na dowolnego rozmiaru, zgrabne cząstki. Łyżkę masła zasmażyć z łyżką mąki — nie rumieniąc — rozprowadzić trzema szklankami śmietanki lub dobrego mleka, zagotować, osolić do smaku, nawpół ostudzić, wbić w to dwa żółtka, dodać łyżeczkę najlepszego, śmietankowego masła, kto lubi, siekanego koperku lub muszkatołowej gałki dla zapachu. Nie gotując więcej, wymieszać sos z jarzynami i napełnić tą potrawką formę z francuskiego ciasta. Kombinacje jarzynowe są zupełnie dowolne: kalafjory można zastąpić szparagami lub bulwą włoską, zamiast fasolki użyć zielonego groszku lub brukselki — karotkę lub dobrą marchew mieć możemy w każdym sezonie. Pozostałe skrawki listkowego ciasta zebrać, ułożyć jedne na drugie na płasko, rozwałkować, pokrajać na cienkie paski, posmarować żółtkiem, osolić po wierzchu i upiec paluszki do herbaty lub słomki (pailles) do zupy.



KOTLETY Z DZIKA

Kilo combra lub kotletów z dzika wymoczyć przez godzin parę w zimnej wodzie, osuszyć dokładnie ściereczką, zamarynować w occie zmieszonym po połowie z czerwonym winem (może być owocowe), przegotowanym z korzeniami i cebulą. Trzymać na chłodzie. Po dwóch dniach podzielić na sześć równych kotletów, zbić mocno. Każdy kotlet naszpikować cieniutkimi paskami wędzonej słoninki, lekko popieprzyć, posolić, zrumienić na maśle i przełożyć do rondelka. Do masła, w którym się smażyły kotlety, wsypać łyżkę mąki, zasmażyć do zrumienienia, rozprowadzić marynatę do gęstości zawiesistego sosu, wlać pół szklanki gęstej, kwaśnej śmietany, zagotować raz, wsypać na koniec noża papryki lub białego pieprzu. Sosem tym zalać w rondlu kotlety i zagotować w nim raz jeden tylko. Jest to potrawa bardzo ostra, nadająca się na śniadania myśliwskie. W taki sposób przyrządzone mięso dzika traci zupełnie swój specyficzny, przez wiele osób nieznośny, odór. Do takich kotletów najodpowiedniejszym dodatkiem są duszone w śmietanie buraczki lub makaron włoski z rumianem masłem i serem.

LODY Z MELONU

Zagotować syrop z litra wody i sześćdziesięciu deka cukru, wrzucić w to czterdzieści deka aromatycznego, dojrzałego melonu, pokrajanego w drobną kostkę i wcisnąć sok z całej cytryny, gotować, aż się melon zupełnie rozgotuje na miazgę. Ostudzić, przełożyć do formy i zamrozić, jak zwykle. Gdy lody już zgęstnieją, przy wyjmowaniu z nich łopatki, wlać nieduży kieliszek araku, wymięszać dokładnie i kręcić dalej, aż się zupełnie zetną. Można też przy zasmażaniu dodać do tych lodów dwa lub trzy surowe, bardzo świeże białka. Lody z białkami mają przyjemną gęstość, której zwykle lody owocowe, robione na wodzie, są pozbawione.

KISIELEK KAWOWY Z KREMEM

Szklankę mocnej, aromatycznej kawy ugotowanej bez cykorji, zmieszać z trzema szklankami zagotowanego mleka i szklanką cukru. Trzy ćwierci

szklanki kartoflanej mąki zmieszać z pół szklanką zimnego mleka, wlać do gotującej się kawy, wybić mocno, przelać do formy, wylanej wodą i wysypanej cukrem, wynieść na chłód. Ubić krem z kwaterki najlepszej śmietanki, osłodzić go dwoma łyżkami cukru-pudru, utłuczonego z kawałkiem wanilji i przesianego przez sitko. Przed samem podaniem kisielek wyrzucić z formy na półmisek, pokryć go kremem — można też ubrać lekkimi biszkopcikami — i podawać.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani M. R. — Straszyle. — Plamę z miodu trzeba na świeżo spierać letnią, przegotowaną wodą. Jeżeli węża jest w dobrym gatunku i nie puszcza, można rozbić trochę mydła prawdziwego, marsylskiego, albo barskiego do prania.

Pani A. T. — Siedlce. — Radzę Sz. Pani nabyć „Doskonałą kuchnię“ M. Marciszewskiej, która ukaże się niebawem w nowym wydaniu „Tow. Wydawn. Bluszcze“. Jest to najwzrostniejsza książka kucharska, jaką znam (dawna Kucharka szlachecka) znajdzie w niej Sz. Pani wszystko, co może być potrzebne tak w skromnej, jak i w wykwinnej kuchni, a różnorodność przyrządzenia potraw ułatwi urozmaicenie codziennych posiłków. — Co do zapytań w kwestji hodowli pieczarek na małą skalę, polecam Sz. Pani broszurę P. Teodorowicza „Majątek na 15 metrach kwadratowych“. Widziałam ją na P. W. K. i uważam za ostatnie słowo doskonałości i praktyczności w tym kierunku. Trzeba napisać pod nazwiskiem p. Teodorowicza — adresując: Poznań — Drukarnia D. O. K. VII, ul. Babińskiego 1 — 3, i prosić o wysłanie za zaliczeniem pocztowym wspomnianej broszury, jak również potrzebnych informacji.

Pani L. J. — Zakopane. — Plusz bardzo trudno daje się odświeżać. Można to uczynić jedynie przez umiejętne odparowanie, a następnie czyszczenie specjalnie drucianą szczoteczką, delikatną, a ostrą. Plusz odparowuje się, mocno rozpięty nad gotującą wodą, trzyma go się w dwie osoby włosem do góry, następnie prasuje w powietrzu, lub, co lepiej, po wysuszeniu szczotkuje lekko, wyżej wspomnianą szczoteczką. Mniej-sze nagniecenia po wysuszeniu deszczowych znaków, wystarczy cierpliwie czesać szczoteczką. Najlepiej jednak unikać tego rodzaju wypadków i pluszu na deszcz nie używać. Szczoteczkę dostanie Pani w dużych składach wyrobów szczotkarskich, trzeba żądać szczoteczki do czyszczenia zamszu.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcze“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18